

ODGŁOSY

ROK XX NR 40 (1034)
2 PAŹDZIERNIKA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



POWINNOŚĆ KULTURY

WYWIAD
Z MINISTREM
KULTURY I SZTUKI
JÓZEFEM TEJCHMĄ

STR. **3-4**

Tomasz Soldenhoff targi nie na pokaz

Dla handlowców i klientów Poznańskie Targi Krajowe są zawsze okazją do porównań. Do porównań tego co może nasz przemysł z tym, co rzeczywiście trafia do sklepów. Ale przyznajmy: obie strony w przeszłości nieraz opuszczały Poznań z wrażeniem, iż nie uczestniczyły w Targach, lecz w... pięknej wystawie.

W tym roku ambicją organizatorów było, aby Targi oprócz swej wystawienniczej, przeglądowej czy reprezentacyjnej funkcji, miały charakter handlowej giełdy. Żeby były Targami w pełni tego słowa. Targami nie na pokaz.

O NOWEJ FORMULE

Przypomnijmy podstawowe założenia reformy, wychodzące od słów gospodarza imprezy. W wywiadzie udzielonym „Gazecie Targowej” minister Handlu Wew. i Usług ADAM KOWALIK podkreślił, że na tak poważnej imprezie, jaką są Poznańskie Targi Krajowe, nie można uprawiać – co zdarzyło się w poprzednich latach – „gry pozorów”.

– Giełdę traktujemy – powiedział min. A. Kowalik – jako ważną platformę roboczych kontaktów między przemysłem i handlem, istotne miejsce konfrontacji podaży z popytem. Giełda musi być uczciwą prezentacją towarów, które przemysł może wyprodukować w ilościach rynkowych i dostarczyć do sklepów. I to nie w latach odległych, ale w najbliższych miesiącach.

DALSZY CIĄG NA STRONIE 8

RYSZARD BINKOWSKI

TATA BOŠKA I SYNOWIE

9

RYSZARD DOMINIĄK

DECYZJA

6



MIROSLAW KUŹNIAK

DOMY LOHNWEBRÓW

CZYTAJ NA STRONIE 4-5

WSPOMNIENIA

TADEUSZ PAPIER

ECHA WRZEŚNIA

Wyznam, że kiedy na moim kalendarzu pojawi się nazwa miesiąca — wrzesień, nie potrafię oprzeć się wspomnieniom. Każdy, kto przeżył wojnę, zachował swój obraz tej wojny. Mój obraz jest tylko moim obrazem. Moje pejzaże, moimi pejzażami. Takich pejzaży jest miliony. Są różne, mają różne zabarwienia, ale przez wszystkie przewija się ten sam wątek, zawarty w haśle obrony ojczyzny. Przeżywałyśmy te wojny wciągnięte do początków. Niejeden z nas swój życiorys zaczyna od tej wojny. Bo w niej zaczęły się rysować nowe drogi.

Nie zapomnę lasu, który rośnie niedaleko Chełma Lubelskiego. Tam dotarliśmy po długiej wędrówce i zostaliśmy wcieleni do wojska. Wyruszyliśmy z naszej wsi w Kieleckim w czwórce: ja, brat, oraz nasi przyjaciele — Marian Lech, który potem zasłynął jako odważny i mądry partyzant odznaczony Krzyżem Wirtuti Militari, i Henryk Blasiński, dzisiaj profesor na Politechnice Łódzkiej. Otrzymałmy wrzesień mundury i broń. Ten las zostanie na zawsze w albumie pamięci. Pejzaż typowo polski. Wysuszone w słońcu sosny, a pod sosnami żołnierze, namioty, oficerowie przy stołach zbitych z prostych desek, którzy bez przerwy pra-

cuja, wydają przydziały i rozkazy. A potem marsze, postoje, placówki, ataki samolotów ze swastyką.

Pamiętam taką scenę, która rozegrała się na jednej z dróg w Lubelskiem. Zbliżał się już koniec września. Nasza kompania odpoczywała w rowie przydrożnym. Droga przejeżdżała konno grupa wyższych oficerów. Byli wśród nich pułkownicy i generałowie. Któryś z nich odezwał się głośno: „Boże, jak wiele tu pięknej młodzieży!” Można było rozmaić odczytać ten okrzyk. I że, i dobrze. Nie wiem, o czym myślał wtedy ów generał. Może spoglądał na nas, jak na nie wydobytą ze skrzyń i z pokrowców, i nie wykorzystaną w walce tajemnicze karabiny przeciwpancerne. Może to był okrzyk żalu i rozpaczy, że ci wszyscy młodzi ludzie zostali zawiedzeni. A może w ostatnich dniach słyszał klątwy i wymyślenia prostych żołnierzy, którzy, jak komentuje Stanisław Zieliński w szkicu „Wrzesień w pamięci i w prozie” zamieszczonym w tomie „Literatura w służbie ojczyzny”, przeklinali do siódmego i dalej pokolenia za brak czołgów i samolotów. Klęł za niemieckie niebo nad polskim wojskiem.

A oto już inny obraz. Jest połowa października. Na pierwszym planie widać łąkę, w połowie zalaną przez wodę,

Woda miejscami ma kolor złoty, miejscami zielony. Z lewej strony rośnie kilka olszyn. Nieco dalej las, wiemy, że za tym lasem jest drugi las, a za drugim trzeci. Tymi lasami można dojść aż do Wisły. Niektóre drzewa są nagie, inne pokryte złotymi liśćmi. Obraz jesiennej łąki, i tego lasu także został w pamięci. Przeszło miesiąc temu, kiedy zszliśmy na wojnę, pierwsze kroki skierowaliśmy na tę łąkę. Bo tędy prowadziła najbliższa droga na wschód. A po miesiącu, kiedy wróciliśmy do domu, spotkaliśmy się w tym samym miejscu. Tutaj złożyliśmy naszą przysięgę, że będziemy w dalszym ciągu prowadzić walkę z najeźdźcą. Uważaliśmy, że nikt nas nie zdembolizował. Wprawdzie kilkanaście dni temu podpisywałem gdzieś nad Bugiem książeczki wojskowe, ale podpisywałem tylko dla formalności. Właściciel książeczki mógł się wylegitymować, że do końca znajdował się w oddziale, że nie samowolnie powrócił do domu. Przed rozejściem się jeden z kolegów ze szkoły, porucznik Ekiert, wygłosił przemówienie. Powiedział, że domy nasze powinny stać się twierdzami, że każdy próg musi stać się zapora dla nieprzyjaciela.

Przypominam sobie dzisiaj ten pejzaż łąny, pejzaż polski, i tę scenę przysięgi, może w tej scenie było jeszcze wiele prawdziwości, ale nie potrafię odwrócić się w przeczucie. Bo choć wiele jeszcze trzeba było przejść, i cierpieć i upokorzeń, i wiele się nauczyć, to przecież w tych wszystkich przysięgach,

jakie składano po lasach, wsiach i miastach, wyrastały nowe ziarna nadziei. Marian Piechal w poemacie „Epilog wrześniowy” opowiada, jak to żołnierze „opuszczeni przez wodzów, rozbiłi przez wroga, rozproszeni po lasach i polach” pytają: „Dokąd teraz się udać?” Poeta odpowiada: „Nasze miejsce nad Wisłą. Ona rany krwawe chłodzą goi — uiszcza za wszystką gorycz naszą, za trud: za Warszawę i za Kutno, i za Westerplatte!”

Poemat kończy się takim akcentem: „Nie jestem prorokiem ani żadnym wieszczem, tylko mówię: Polska zmartwychwstanie jeszcze”. Dodać należy, że te wiersze Piechal napisał w latach 1940 — 1942. A inny poeta, Stanisław Czernik, który lato i jesień swojego życia spędził w naszym mieście i spoczął na cmentarzu Łódzkiem, napisał: „Zawisły żył nad przeczłóścią — jak skropione miecze. Widma przepędzić nie można. Z mogiły krzacz: Wrzesień, wrzesień.”

Kiedyś i to będzie ziarnem. Gdy je jak pestkę czasu czas inny nawlecze... Przed wojną były u nas takie miesiące święte, jak maj, jak listopad, jak styczeń. A dzisiaj tego uświęcenia doznał także wrzesień. Mamy wiele książek o wrześniu. Jest proza,

są wspomnienia, są prace naukowe. Są książki piękne i głębokie jak Wańkowicza, Dobraczyńskiego, Strumph-Wojtkiewicza, Zukrowskiego. Wykaz książek o wrześniu, powieści i opracowań, jest bardzo bogaty. Lista autorów ciekawa. Ale myślę, że temat Września nie został jeszcze wyczerpany.

Wrzesień jest początkiem odrodzenia. Komunista, który ucieka z więzienia i idzie walczyć z najeźdźcą, jest symbolem nowego ujęcia patriotyzmu. Ten patriotyzm przedstawiają w wierszu i prozie nie tylko nasi pisarze. Z prawdziwym wzruszeniem spotykamy w prozie pisarza białoruskiego Janki Bryla portret żołnierza wrześniowego. W przegranym Wrześniu znajdujemy wiele ziarn otuchy. Sztuka Frelka i Kowalskiego „Przed burzą”, która przez wiele tygodni nas pasjonowała, świadczy, że temat wrześniowy jest wciąż żywy i wciąż odkrywany. Mamy jeszcze w pamięci pejzaże wrześniowe. Słyszymy strzały oddziałów egzekucyjnych spod znaku swastyki. Po trzydziestu ośmiu latach oglądamy pejzaże współczesnej Polski. Z tych pejzaży rodzi się nasza ufność. Słyszymy słowa, które zanotował Jan Parandowski w szkicu „Wrześniowa noc”: „Jak tu nie walczyć o Polskę, kiedy się ją tak kocha? I jak tu nie kochać tej naszej ziemi, kiedy ona taka piękna?” Jednej ze swoich książek o patriotyzmie i o ukochaniu Polski Józef Kononowicz dał tytuł „Szyf: o ojczyźnie”. Wszyscy czekamy na nowe, głębokie i piękne „Szyfy o ojczyźnie”.

INFORMACJE

Dwaj łodzianie w finale konkursu w W. Brytanii

W ogłoszonym konkursie międzynarodowym na piosenkę w Culbarton na Wyspach Brytyjskich dwaj łodzianie: poeta ROMAN GORZELSKI i kompozytor JACEK MALINOWSKI, jako jedyni twórcy z krajów socjalistycznych znaleźli się w finale. Ich piosenka (z tekstem angielskim napisanym przez R. Gorzelskiego) pn. „Don't be afraid of this green shade” — co po polsku znaczy: Nie bój się zielonego cienia — przebrnąwszy szczęśliwie wszystkie eliminacje została zakwalifikowana do publicznego wykonania, kończącego ten popularny konkurs.

Wydaje nam się, że jest to niewątpliwie wielki sukces naszych twórców, świadczy, że szczególnie w tej dziedzinie rynek zachodni jest znany z bardzo wysokiego poziomu i sporze na nim konkurencji. A z finałem i z nagrodami — jak to wiemy z własnego opolskiego podwórka — różnie bywa...

Muzeum filmowe w Łodzi

W Łodzi będącej największym w kraju ośrodkiem przemysłu filmowego, powstaje pierwsze w Polsce Muzeum Techniki Filmowej. Zgromadzone już ok. 4,5 tys. eksponatów. Są wśród nich fotostudy, programy, scenariusze, taśmy oraz blisko 3 tys. plakatów. Sporo jest także sprzętu technicznego. Z ciekawszych nabytków warto wymienić dwa stare rzućniki na lampy naftowe, pochodzące z końca XIX wieku i z kompletemi przeoczony przez istawiającymi widoki z całego świata. Są to jak gdyby „piadziadkowice” dzisiejszego kina.

Innym godnym uwagi eksponatem jest wyposażenie jednego z pierwszych kin objazdowych, które wędrowało jeszcze konnym wozem.

Podjęto również starania w sprawie kupna starego fotostudionu, który ma działać jako jedna z atrakcji muzeum.

Antologia z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej

Wiersze ponad tysiąca radzieckich poetów zawierać będzie czterotomowa antologia, która ukaże się w ZSRR z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej.

Pierwsze dwa tomy poświęcone będą poezji Federacji Rosyjskiej, a następane dwa zawierać będą rosyjskie przekłady wierszy z 76 języków na 30-dobności i wspólnot językowych ZSRR, a wśród nich takich wspaniałych, które dopiero po Rewolucji Październikowej otrzymały własną literaturę pisana. Antologia ukaże się pt. „60 lat radzieckiej sztuki poetyckiej”.

800 milionów analfabetów

Statystyki organizacji międzynarodowych alarmują, że jeszcze obecnie jest na świecie 800 milionów osób nie umiejących czytać i pisać.

W samej Ameryce Łacińskiej jest 50 milionów analfabetów, przy czym w takim kraju jak Haiti analfabetyzm obejmuje 90 proc. mieszkańców. W Brazylji z braku odpowiednich warunków, nie uczęszcza do szkół 6 mln dzieci w wieku 7—14 lat.

60 czerwonych nieńi

Pod takim tytułem radio NRD nadaje w tym roku cykl audycji, mających na celu zaznajomienie przede wszystkim młodzieży z tradycjami i historycznymi wydarzeniami, związanymi ze zwycięstwem Rewolucji Październikowej.

Cykl ten zawiera popularne międzynarodowe pieśni robotnicze oraz pieśni narodów Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych. Programy przygotowywane są przy współpracy z radem ZSRR.

ANDRZEJ F. GRABSKI

BOGDA MADEJ

NIE TYLKO HISTORIA

MONOGRAFIA

O RÓŻY LUKSEMBURG

Kim jest Gilbert Badia? Historykiem, krytykiem literackim, publicystą, tłumaczem, mającym dziś już znaczny dorobek autorski. Jako historyk interesuje się przede wszystkim nowoczesnymi dziejami Niemiec, szczególnie zaś niemieckiego ruchu robotniczego. Jego dwutomowy zarys współczesnej historii Niemiec, wydany po raz pierwszy w 1962 r., potem kilkakrotnie wznowiany, doczekał się tłumaczenia węgierskiego. Książkę o Spartakusowcach i ostatnich latach działalności Karola Liebknechta oraz Róży Luksemburg, wydaną w 1967 r., opublikowano także w tłumaczeniu włoskim. Jako tłumacz jest Gilbert Badia współautorem francuskich przekładów klasycznych dzieł Karola Marksa i Fryderyka Engelsa (w tym „Kapitału”, „Ideologii niemieckiej”, „Świętej Rodziny” i innych), a także autorem tłumaczeń niemieckich utworów dramatycznych w szczególności Bertolta Brechta. Publikuje najczęściej — chociaż nie wyłącznie — w paryskim wydawnictwie „Editions Sociales”, co

wyraźnie określa jego oblicze ideowe; tam właśnie ogłaszają swe dzieła francuscy intelektualiści, związani z ruchem komunistycznym. W tym też wydawnictwie ukazała się przed dwoma laty (1976) nowa praca Gilberta Badię zatytułowana: „Rosa Luxemburg. Journaliste, polémiste, révolutionnaire”. Tego tytułu nie trzeba chyba tłumaczyć — nawet nie znając języka francuskiego łatwo go zrozumieć. Praca francuskiego historyka jest dziełem doprawdy ogromnym: liczy 930 stron tekstu i świadczy o ambicji badacza, który starał się dać swoim czytelnikom do ręki możliwie najpełniejszy, najwzschodniej udukiemontowany obraz koleji życia i działalności, twórczości i poglądów tej wybitnej działaczki międzynarodowego i polskiego ruchu robotniczego. Niewątpliwie Gilbert Badia cel ten osiągnął: jego praca oparta jest o obfitymateriał, wielojęzyczną dokumentację archiwalną i biblioteczną, zgromadzoną w wielu krajach — w Niemczech, w Polsce, Szwajcarii, Holandii i

innych — ogarnia całokształt jakże wciąż rozproszonych piśmienniczych dorobku Róży Luksemburg, wykorzystuje bogaty zestaw literatury, w którym figurują pozycje niemieckie, francuskie, angielskie, rosyjskie, polskie, holenderskie i włoskie. Doprawdy dzieło imponujące: tak bogate i obszerniejsze monografie nie doczekała się większość najwybitniejszych nawet rewolucjonistów ubiegłego i bieżącego stulecia! Podkreślamy, że francuski historyk dołączył do swego dzieła pełną bibliografię pism Róży Luksemburg, ułożoną podług kryterium chronologicznego, obejmującą 840 pozycji, z których bardzo wiele wciąż nie zwróciło na siebie uwagi badaczy. Z zadowoleniem zauważamy, jak dalece francuski autor sięgnął do materiałów polskich; trudno byłoby nam znaleźć taką polską publikację, dotyczącą bohaterki tej książki, której by tu nie wykorzystano.

Dzieło Gilbert Badię dzieli się na cztery części: pierwsze dwie, liczące łącznie blisko 400 stron druku, przenoszą dokładną biografię Róży Luksemburg od najwcześniejszej młodości, po tragiczną śmierć rewolucjonistki, zamordowanej w nocy z 15 na 16 stycznia 1919 roku. Trzecia część książki, zatytułowana: „Teorie i słownictwo” i obejmująca około 200 stron, została poświęcona myśli poli-

tycznej Róży Luksemburg, czwarta — licząca mniej więcej tyle samo stron — prezentuje wybitną działaczkę jako niezmiernie utalentowaną publicystkę, polemistkę, mówcę, pisarza i epistolografa i kończy się nadzwyczaj interesującą próbą portretu tej jakże wyraźnie rysującej się osobowości. Całość dzieła wieniecziwła konkluzja, aneksy, obfitymateriał bibliograficzny wykorzystanych źródeł i literatury przedmiotu.

Książka Gilbert Badię jest dziełem profesjonalisty: germanista z wykształcenia, jest on dziś historykiem, profesorem Uniwersytetu Paryż VIII. Jego dzieło o Róży Luksemburg jest pod pewnym względem nietypowe dla historiografii francuskiej: często wprawdzie zdarzają się w niej podobnie rozległe monografie, przecież bardzo rzadko która z nich w tak znacznej mierze sięga po dokumentację obcojęzyczną. Nie bez powodu powiada się, że historycy francuscy najchętniej czytują... samych siebie: autorów francuskich.

Praca Gilbert Badię jest bez wątpienia dziełem, w którym autor starał się zrealizować metodologiczne dyrektywy rozwinięte w historiografii marksistowskiej. Książka ta wyróżnia się jednak wśród innych, powstałych z tej samej metodologicznej inspiracji publikacji, poświęconych wybit-

nym przywódcom i teoretykom ruchu robotniczego. Nie trzeba tu podawać nazwisk autorów czy tytułów innych prac o tej tematyce, jakich jest dziś już sporo. Większość spośród nich zmierzają jednak jak najszybciej do syntezy, do ogólnych poglądów, całościowych ocen. Z pewnością to bardzo dobrze, tylko że rzadko kiedy owe syntetyczne sądy są poparte odpowiednio skrupulatnie zgromadzoną dokumentacją, wyprowadzone ze skrupulatnie przebadanego materiału źródłowego. Stąd nieraz — kiedy idzie o sprawy szczególnie aktualne i kontrowersyjne — w pracach tych więcej jest publicystyki, aniżeli rzeczywistego naukowego badania. A przecież najważniejsze zdaje się być jedno: aby nasze sądy opierały się o możliwie adekwatną wiedzę naukową o tym, jak to w przeszłości „rzeczywiście było”. Jestem przekonany, że bez takich właśnie — mówię o wachstach — i gruntowności ujęcia — prac, jak książka Gilberta Badię, nasza wiedza o polskim i międzynarodowym ruchu robotniczym wciąż będzie ułomna. Dobrze by więc było, gdyby podobnych dzieł mogło być więcej.

SPORT

ZWYCIĘSTWO W CHORZOWIE

Zwycięstwo nad Duńczykami w Chorzwie 4 do 1 jeszcze raz potwierdziło, że dla naszej reprezentacji są mecze ważne i nieważne. Mecz z Austrią i ZSRR można więc zaliczyć do nieważnych, bo były to mecze przegrane. Mecz w Chorzwie był ważny, bośmy go wygrał. Co prawda w Chorzwie grała zupełnie inna drużyna niż w Włocławku, ale to przecież mniejszej wagi. W końcu jedni i drudzy noszą takie same koszulki z orlem na piersi, a mecze ważne i nieważne zaczynają się tak samo od odegrania hymnów państwowych stron walczących ze sobą.

Zwycięstwo w Chorzwie potwierdziło również i to, że nie wygryła w nas tradycja „obrony Częstochowy” i kiedy skonolidujemy się do walki o wszystko,

albo o nic, to potrafimy nie tylko bronić, ale i skutecznie atakować. Chorzwów potwierdził te teorie tym bardziej, że w Chorzwie na stadion wybiegła drużyna składająca się w większości z weteranów bojęw toczonych w 1974 r. w RFN o światowe tytuły. Ale tym samym zwycięstwo w Chorzwie potwierdziło, że nadal nie mamy drużyny, która byłaby w stanie podobać trudom walki o światowe tytuły w Argentynie w 1978 roku.

Co robi i myśli trener Jacek Gmoch trudno dobrać, gdyż — jak to oświadczył publicznie — trener PZPN zakazał mu wypowiadać się na temat piłki nożnej i udzielać jakichkolwiek wywiadów przedstawicielom prasy, radia i telewizji. Jacek Gmoch postanowił milczeć i ma do tego prawo, ale no co zaraz dyma

zasłona w postaci przesa PZPN? Przecież wiadomo, że w naszym kraju obowiązują uchwały z obowiązujące wszystkich ludzi i instytucje do współpracy przy informowaniu społeczeństwa i nakładają obowiązki rzetelnego stosunku do wszelkiej społecznej krytyki. Czyżby więc PZPN obowiązywały inne normy postępowania? Coś mi się w to nie chce wierzyć.

Do tej pory, kiedy nasi reprezentanci przegrywali w meczach międzynarodowych, Jacek Gmoch twierdził, że realizacja założenia taktyczne, że sprawda się warianty i wszystko jest pięknie. Po zwycięstwie w Chorzwie Jacek Gmoch milczy — a kibice byłiby ciekawie usłyszeć jego zdanie, na temat tego, co też on myśli o owych wariantach sprawdzanych przez inny zespół i o zwycięstwie, które wywalczył inny zespół. Kibice ze zdziwieniem na przykład zobaczyli w składzie reprezentacji Andrzeja Szarmacha, o którym było wiadomo, że od dawna nie był w formie; że miał wpraw-

dzie jeden dobry mecz, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Kibice cieszyli się ze znakomitej postawy Grzegorza Lato, który też miał słabszy okres, ale teraz jest pracowity nieszczęście i bardzo drużynie przdatny. Ale Grzegorz Lato, żeby nawet ze skóry wychodził czasu nie zatrzyma i do końca życia miejsca w reprezentacji nie utraci. To samo można powiedzieć o Kazimierzu Deynie, który już nigdy nie odzyska się „robic kółeczka z piłką” i który ma coraz dłuższe przestoje na boisku.

Zwycięstwo w Chorzwie poprawiło pozycję z tabeli naszej grupy eliminacyjnej, ale też ujawniło cały szereg braków i niedociągnięć naszej reprezentacji. Wygraliśmy, ale nie można powiedzieć, że w pięknym stylu. Wygraliśmy, ale nie można z całym spokojem patrzeć na mecz z Portugalią, z Holandią też kiedyś wygraliśmy w tymże Chorzwie 4 do 1 i lepieł nie wspominać o tym, co było później. Wygraliśmy, ale nikt nie może twierdzić, że ta sama

drużyna ponownie odniesie zwycięstwo, a nowy skład reprezentacji — jak wszystko by wskazywało — nie jest jeszcze gotowy. Trzeba się więc cieszyć sukcesem z Chorzwia, ale nie podpadać w skrajny optymizm, że teraz to już nie ma żadnych przeszkód na naszej drodze do Argentyny. A poza tym do tej Argentyny zjada nienosi, dobrze przygotowani, diabelnie pazerni na sukces i tytuły. I na twarde zwycięska walkę trzeba być przygotowanym. Jednakże, jak to wynika ze sprawozdania wariantów i założeń taktycznych — nasi chłonce nie są jeszcze na tyle sprawni, aby mogli zastąpić weteranów Mistrzostw Świata z 1974 roku i sami zająć choćby ich miejsce w światowej reprezentacji. Na szczęście do Mistrzostw Świata w Argentynie jeszcze został cały rok.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.



POWINNOŚĆ KULTURY

Wywiad z **JÓZEFEM TEJCHMĄ**
członkiem Biura Politycznego
Komitetu Centralnego PZPR
Wiceprezesem Rady Ministrów
Ministrem Kultury i Sztuki

Minęły ponad dwa lata od przeprowadzenia drugiego etapu reformy administracyjnej kraju. Czy można już dziś, bodaj wstępnie, ustalić jaki wpływ wywarła reforma na mapę kultury polskiej? Co zostało już dokonane, co jest jeszcze przed nami?

JÓZEF TEJCHMA: Reforma administracyjna miała duże znaczenie dla całości życia społeczno-gospodarczego i wywołała określone konsekwencje również w dziedzinie kultury. W pierwszym okresie po reformie zostały odsłonięte duże dysproporcje, nie tylko w staniu kultury, w jaką zasobne są poszczególne regiony kraju, ale w poziomie rozwoju bazy materialnej, która w znacznym stopniu warunkuje, a w każdym razie ułatwia pełną demokratyzację kultury w naszych warunkach ustrojowych. A więc reforma ujawniła to, co zresztą było nam już wiadome przed nią, że w Polsce istnieją wielkie centra kulturowe, posiadające bogate instytucje środowiska twórcze, utalentowane i doświadczone w działaniu kadry, ale poza tymi centrami istnieją obszary miejskie, malomiasteczkowe, a zwłaszcza wiejskie, gdzie zachowana została ubogość obiektywnych warunków życia kulturalnego. Odsłonięcie tego stanu rzeczy było pozytywne, w tym mianowicie sensie, że stało się czynnikiem mobilizującym, i nas — kierownictwo państwowe — i aktywny w najszerszym terenie, aby wzbogacić możliwości rozwoju nowych ośrodków wojewódzkich.

Na podstawie własnych spostrzeżeń mogę już dziś stwierdzić, że we wszystkich nowych województwach, utworzonych po reformie, władze państwowe i państwowe oraz aktywny społeczny wykazały wiele ambicji ażeby stworzyć u siebie najlepsze warunki życia również w dziedzinie kultury. Pojawilo się tam wiele dobrze po-

myślanych i praktycznych, dających się zrealizować, inicjatyw. Sumując ten, niedługi przecież okres możemy powiedzieć, że we wszystkich miastach wojewódzkich powstała już elementarna sieć instytucji nieodwzajemnionych do życia kulturalnego. Przede wszystkim więc — wszędzie istnieją już wojewódzkie biblioteki, choć ich budyńki i księgozbiory dalekie są jeszcze od bogactwa. Powstały wojewódzkie domy kultury, które zaczynają spełniać dwojakie, programowo przypisane im funkcje: są ośrodkiem życia kulturalnego w swych miastach, ale równocześnie zajmują się działalnością instrukcyjno-organizatorską, metodyką upowszechniania kultury, w stosunku do otaczającego miasto wojewódzkie terenu. Powstają muzea, okręgowe i wojewódzkie, chroniące od zniszczenia własne, lokalne zasoby dawnej kultury, i wzbogacające je zakupami wytworów sztuki; przez nie będzie się dokonywało społeczne dziedziczenie ogólnonarodowej oraz lokalnej, w tym również ludowej, tradycji kulturalnej.

Prawidłowo układają się również relacje pomiędzy województwami zaobscierającymi w kulturę, a tymi, które mają jeszcze obecnie mniejsze możliwości. Dotyczy to zwłaszcza takich dziedzin, jak teatr i muzyka. Kształtują się w kraju dobre tradycje stałych kontaktów naszych najwybitniejszych artystów z miastami, które własnych teatrów i filharmonii nie mają i mieć ich nie będą w ciągu najbliższych lat. To, że nie mają teatru, nie znaczy jednak, iż już dziś mają być do niego teatru pozbawione; służyć temu winna i poprawa jakości artystycznej już istniejących placówek teatralnych, i zwiększenie ich powinności względem terenu. Jest to powinność obecności rzeczywiście dobrymi spektaklami wszędzie tam,

gdzie to jest społecznie potrzebne, a w nowych województwach obecność dobrego, gościnnie tam występującego teatru jest autentyczną społeczną potrzebą.

W przededniu reformy Ministerstwo Kultury i Sztuki zakończyło prace nad „Programem rozwoju kultury na lata 1975—1990”. Co z wpisanych w ten dokument dyrektyw rozwojowych zostało już zrealizowane, co znajduje się w stadium realizacji? Jakie szczególne zadania przypadają nam na rok kulturalny i sezon artystyczny 1977/78, który obecnie inaugurujemy?

JÓZEF TEJCHMA: Przede wszystkim chciałbym wrócić uwagę na duże znaczenie samego faktu istnienia takiego programu. Nawet jeśli ktoś miałby wątpliwości co do tego, czy jest on całkowicie realny — jego istnienie jest społecznie ważne. Musimy bowiem uznać potrzebę, więc — konieczność wytyczania sobie celów rozwojowych w dziedzinie kultury, i takiego ich formułowania, by stanowiło to myślową, dyrektywną całość. Wszyscy przyzwyczailiśmy się już, że istnieją uformowane w program wskaźniki rozwojowe w dziedzinie przemysłu, rolnictwa, budownictwa mieszkaniowego i poziomu materialnego życia narodu; jest więc ważne, by uznać również konieczność istnienia wskaźników rozwoju kultury. Program, o który pytaicie, zawiera np. wskaźnik ilości książek, które winniśmy produkować w przyszłości, by czytelnictwo stało się podstawowym elementem kultury w naszym kraju. Zawiera wskaźniki społecznego uczestnictwa w życiu filmowym — wytworach polskiej i światowej kinematografii. Wskaźniki społecznego korzystania z zasobów naszego mizerialnictwa, rozwoju bazy materialnej teatrów i ich obecności w naszym życiu zbiorowym, rozwoju życia muzycznego. Tak więc Program bezpośrednio dotyczy wprowadzenia bazy materialnej, ale pośrednio formuluje cele ideologiczne, zawiera mianowicie postulat budowania i dalszego upowszechniania demokratycznej kultury w Polsce: kultury żywej, wysokiej, rozbudowanej wszędzie, nie tylko w ośrodkach wielkomiejskich — w całym naszym kraju.

Oczywiście, nie należy sądzić, że wszystko zaczęło się od Programu. Nawiązał on do tego, co zostało już zrobione w Polsce Ludowej, a także do obecnej sytuacji w dziedzinie kultury — proponując jej dalszy, dynamiczny rozwój. Pytaicie, co zostało już z Programu zrealizowane. Przede wszystkim — rozbudowaliśmy uczestnictwo najważniejszych środowisk społecznych w kulturze, zwłaszcza środowiska robotniczego. Hasło sojuszu świata pracy z kulturą, które zostało w Programie przyjęte jako jego podstawowa zasada, jest dziś realizowane coraz szerzej, już nie jako eksperyment, doświadczenie, ale jako model kultury w Polsce. Chcemy mianowicie budować taką kulturę, w której czynnie uczestniczą codziennie szerokie rzesze ludzi pracujących, przede wszystkim — robotnicy. Ma to dla kultury socjalistycznej, dla jej treści i jej przyszłości, fundamentalne znaczenie.

Przyjęto się ostatnio, że każda inauguracja roku kulturalnego ma jakąś myśl przewodnią, rodzaj formuły, która określa, co od tego dnia będzie robione przede wszystkim. Co jest formułą tegorocznej inauguracji?

JÓZEF TEJCHMA: Tegoroczny sezon kulturalny chcemy zainaugurować pod hasłem rozwoju życia kulturalnego w miejscu, gdzie ludzie spędzają gros swego czasu — w domach i osiedlach. Zwiększa w osiedlach nowych, teraz powstających, które powinny od razu, w chwili ich zamieszkiwania, posiadać pewien system instytucji: kluby, sale kinowa, czytelnie, obiekty sportowe. A więc winno to być osiedla nie tylko wyposażone w tzw. substancję mieszkaniową, lecz zagospodarowane kompleksowo — czynne jako przestrzeń, gdzie spełnia się ludzkie uczestnictwo w kulturze. Tak zagospodarowane osiedle modeluje bowiem również wnętrza mieszkań, i to, co się w nich dzieje; jest czynnikiem w znacznym stopniu konstytuującym treść życia rodzinnego.

Resort kultury podejmuje tę akcję wraz ze spółdzielczością mieszkaniową, której zadaniem jest przecież nie tylko wytworzenie izb, ale stwarzanie nowych warunków zbiorowego życia, proponowanie nowego stylu życia w osiedlach. Myślę, że jest to istotny przykład realizacji „Programu rozwoju kultury”. Program zakłada bowiem powszechność uczestnictwa w kulturze, a najpowszechniej ludzie są obecni w swoim miejscu zamieszkania; to miejsce należy więc uczynić kulturalnym.

Gdzie odbędzie się tegoroczna inauguracja sezonu działalności kulturalnej?

JÓZEF TEJCHMA: W Płocku. Wybraliśmy ten region ze względu na jego dużą aktywność kulturalną, piękne tradycje i bogate nowe inicjatywy. Jest to dobre miejsce, by zainaugurować tam to, co chcemy w tym sezonie osiągnąć.

W środowiskach prowincjonalnych dyskutuje się obecnie o deglomeracji kultury, rozumianej jako deglomeracja struktur, ośrodków finansowych i tech-

nicznych oraz deglomeracja mózgow — bardziej równomierne nasycecie kraju inteligencją twórczą. Ma to uwarunkować prowincję, wzbogacić polski pejzaż kulturowy, a równocześnie przewyciężyć partykularyzm niektórych lokalnych środowisk: zmusić je do konfrontacji własnych poczynań z dokonaniem innych regionów i do myślenia kategoriami interesu całego kraju. Ale dominujące w kulturze polskiej środowisko stołeczne nie spieszy się do deglomeracji mózgow, bronią się również przed nią inne, zasobne już dziś w twórców środowiska pozastołeczne. Co robić, by hasło deglomeracji — jeśli w ogóle jest ono słuszne — mogło być urzeczywistnione? By zahamować trwający już od ćwierć wieku proces koncentracji twórców szeroko pojętej kultury w jednym tylko, stołecznym środowisku, lub co najwyżej, w kilku wielkich środowiskach miejskich? Co w tej sprawie ma do zrobienia prowincja, czego może oczekiwać po krajowym centrum dyspozycyjnym?

JÓZEF TEJCHMA: Pojęcie „deglomeracji kultury” jest pozytywne dla intencji, jakimi się obecnie kierujemy. Chodzi nam przecież o wyrównanie dysproporcji pomiędzy wielkimi ośrodkami kulturowymi, a tymi, które nazywane są „prowincją”. Hasło to zasługuje więc na uznanie i winno być przyjęte jako wytyczna działania. Chcę być jednak realistą: nie bardzo wierzę w możliwość takiej deglomeracji, która polegałaby na przeniesieniu się obecnego potencjału kulturalnego — instytucji i środowisk twórczych — z wielkich ośrodków do miejscowości mniejszych. Nie bardzo wierzę po prostu w szansę pełnej realizacji tego, co nazwalisście „deglomeracją mózgow”. Nawiasem mówiąc — mógłi są już w znacznym stopniu „zdeglomerowane”. Wszędzie w kraju można przecież spotkać ludzi wybitnych, posiadających indywidualne sukcesy twórcze, przekraczające swym znaczeniem i zasięgiem miejsca ich zamieszkania, świadomych tego, co chcą osiągnąć dla swej zbiorowości w dziedzinie kultury, działających sprawnie jako animatorzy własnych, lokalnych środowisk, organizatorzy ich sukcesu. Jeśli jednak chodzi o powstawanie nowych środowisk twórczych w nowych województwach, a to jest chyba intencją waszego pytania?

W nowych województwach i starzych, zapóźnionych w rozwoju, tradycyjnie ubogich w intelektualistów, artystów, działaczy, którzy widzą dalej, niż sięga kres ich regionu.

JÓZEF TEJCHMA: Środowiska twórcze kształtowały się na drodze dopyły do nich nowych, aktywnych myślowo i sprawnych praktycznie ludzi. Taka jest konieczność, i taka jest obiektywna szansa tego, co nazywacie „prowincją”, bo dopyływ nowej krwi podniesie tam ciśnienie, przyspieszy krążenie wartości, pobudzi chęć wybiecia się „prowincji” — na kraj. Najrealistyczniej jest tu jednak dopyływ młodych dyplomantów różnych, humanistycznych, przyrodniczych, ekonomicznych i technicznych fakultetów, którym mniejsze ośrodki mają do zaoferowania nie tylko ciekawą robotę, ale i mieszkania. Aby opuszczali oni centrum stołeczne, stworzyliśmy pewne preferencje materialne: dyplomanci uczelni teatralnych, którzy przenoszą się poza Warszawę, a także Kraków i Łódź — winni tam otrzymywać lepsze warunki materialne, wyższe angaże, dodatki za grę w objęzdzie terenowym. Dotyczy to również muzyków. Miasto stołeczne ma rozwiązany problem kadr w tej dyscyplinie artystycznej, natomiast mniejsze ośrodki, posiadające filharmonie i orkiestry symfoniczne, muszą ubiegać się o zdolnych dyrygentów i instrumentalistów, a najłatwiej będzie im to realizować, angażując młodych dyplomantów uczelni muzycznych. Mniejsze ośrodki mają również do zaoferowania dobre warunki działania młodym artystkom: pracownię, mieszkanie, ale przede wszystkim — bliższe kontakty z życiem. Bezosrednie uczestnictwo w kształtowaniu środowiska, w którym żyją ludzie, ochronę przyrody, formowanie kształtu urbanistycznego i architektonicznego tych, rozbudowujących się teraz, po reformie, miast i miasteczek. To wszystko zaś otwiera perspektywy artystom, może stymulować ich ambicje twórcze, nie tylko zresztą ściśle malarskie, rzeźbiarskie, ale szerokie ambicje oddziaływania na całe życie, na jego estetyzację. Pozwala im na uczestnictwo w realizacji wizji Polski pięknej, każdym swym zakątkiem cieszącej oko nas wszystkich.

Tak, patrząc na rzecz realistycznie, widzimy rozwiązanie problemu deglomeracji mózgow, czyli — inaczej mówiąc — problemu tworzenia większej ilości silnych ośrodków twórczych w naszym kraju, nowych, konstytuujących się poza tymi, które na polskiej mapie kulturalnej istnieją historycznie, lub pojawiły się na niej w wojennym procesie zagospodarowywania ziem odzyskanych i rozwijania kultury socjalistycznej na terytoriach, gdzie wkroczył przemysł i rozwinęło się rolnictwo, awansując te terytoria cywilizacyjnie i społecznie. Tak zaś rozumianą deglomerację będziemy wspomagałi wszystkimi posiadanymi środkami.

pozytywną cechą polskiej prowincji jest ukształtowanie się na niej przed laty prężnego ruchu społecznych animatorów kultury. Organizowany w regionalne stowarzyszenia społeczno-kulturalne, miał ten ruch nawet tu i ówdzie ambicje zastępowania bezwładnej administracji kultury i przejmowania jej uprawnień. Teraz administrację mamy już sprawniejszą, natomiast ruch społeczny, towarzyszący kulturze, jak gdyby stracił rozpęd. Jak Towarzyz Premier ocenia szanse tego ruchu i jaką możemy przewidzieć przyszłość społeczników w sytuacji, gdy upowszechnianie kultury staje się procedurą coraz bardziej techniczną? Jakich wartości oczekujemy po ruchu kulturalnym? Jakie przypadają mu funkcje w kreowaniu kultury narodowej? — I przy okazji. Słyszycie, że w związku z kryzysem tradycyjnego społecznictwa, ruch społeczno-kulturalny nie obejdzie się już dziś bez wsparcia administracji kulturowej. Nie chodzi tu tylko o wsparcie finansowe — choć i o nie również — lecz o taką symbiozę administracji i społecznictwa, by np. działacze regionalnych towarzystw kultury nasycili gminne ośrodki kultury swą pomysłowością i pasją działania, te zaś udzielały ruchowi regionalnemu pomocy technicznej. Co Towarzyz Premier sądzi o takim usytuowaniu ruchu społeczno-kulturalnego w kraju po reformie administracyjnej?

JÓZEF TEJCHMA: Kwestia ta dotyczy tego, co najistotniejsze jest w naszej koncepcji kultury. Naszej, to znaczy — polskiej, socjalistycznej idei rozwoju kulturalnego. Chodzi tu bowiem o to, by nieustannie zacieśniać granicę pomiędzy twórczością kulturalną a korzystaniem z gotowych już dóbr kultury. Granicę, tu i ówdzie ostrą, pomiędzy czynnym a biernym uczestnictwem w kulturze. Każdy twórca kultury jest równocześnie odbiorcą dóbr kulturalnych; każdy odbiorca kultury jest równocześnie jej współtwórcą — choćby przez fakt, że formuluje określone potrzeby, ma określone aspiracje, wypowiada określone opinie o książkach, czasopiśmie, filmach, spektaklach, koncertach; wypowiadając je — oddziałuje na twórczość w sensie społecznym. To wzajemne powiązanie twórców i odbiorców będzie tym silniejsze, a różnice pomiędzy nimi będą tym bardziej płynne, im żywszy będzie społeczny ruch kulturalny. W ruchu tym manifestuje się bowiem jedność twórczości i uczestnictwa. Czym bowiem w swej najgłębszej istocie jest społeczny ruch kulturalny? Tworzeniem nowych wartości w lokalnym środowisku. Kulturowaniem tego, co w jego tradycji było cenne, ale równocześnie — kreowaniem wartości nowych. Nie wyobrażam więc sobie kultury dnia dzisiejszego, a zwłaszcza kultury jutra, bez dalszego rozwoju ruchu społecznych towarzystw kultury.

Ma ten ruch u nas piękną tradycję i ma już własne instytucje, w postaci właśnie Towarzystw — naukowych, artystycznych, przyjaciół miast i miasteczek, miłośników ziemi. Zostają one wytworzone w przeszłości, ale nie tracą swego znaczenia dzisiaj, gdy pojawiły się i rozwinęły nowe, zawodowe instytucje kulturalne; gdy tak dużą rolę kulturalną spełnia telewizja i radio; gdy określone cele rozwoju kulturalnego realizują profesjonalne, wyspecjalizowane instytucje państwowe. Sądzę, że optymalnym stanem, jaki powinien być osiągnięty, byłoby zintegrowanie wysiłków instytucji państwowych z inicjatywą społeczną. Każde redukowanie aktywności jednego bądź drugiego czynnika tego sprężonego układu byłoby dla dalszego rozwoju kultury niekorzystne. A więc — nie można pomniejszać odpowiedzialności państwa za rozwój kulturalny. Ale nie można również pomniejszać rangi społecznej działalności w kulturze, społecznej aktywności jej animatorów. Jedno i drugie byłoby bowiem sprzeczne z naszymi ideowymi koncepcjami, z pryncypiami ideologicznymi naszego ustroju.

Oczywiście, ruch społeczno-kulturalny nie powinien, i nie może zresztą, zastąpić wyspecjalizowanych instytucji, prowadzonych i finansowanych przez państwo. Ale te instytucje nie powinny tak funkcjonować, by uległa wyeliminowaniu działalność społeczna. Powtarzam: najlepszym modelem organizacji i stymulacji rozwoju kultury w Polsce jest zespolenie sił społecznych i sił państwowych, jest to bowiem stan dla sprawy kultury najkorzystniejszy. Społecznictwo w kulturze to nie, jak czasami się sądzi, relikty przeszłości — są to załaski przyszłości. Z historii kultury wiemy zresztą, że weszli do niej nie tylko wybitni pisarze, plastycy, muzycy, lecz również wybitni działacze, którzy odegrali doniosłą rolę w organizowaniu życia kulturalnego w różnych regionach naszego kraju. Taka twórcza i organizatorska postawa wobec wartości kulturowych, kreowanie ich i upowszechnianie, będzie nam w przyszłości nie mniej potrzebna, niż potrzebna była w przeszłości.

Byłem niedawno z wizytą w pewnym kraju zachodnim i tamtejsi

Dalszy ciąg na str. 4

POWINNOŚĆ KULTURY

Dalszy ciąg ze str. 3

działacze kultury chwalili się wspólnym baletem, słynną operą, znakomitym muzeum, narzekali zaś — podobnie jak my to robimy — na brak pieniędzy. Ale przede wszystkim narzekali na bierność kulturalną, jaka wytworzyła się w tym kraju. Kraj ten ma piękną tradycję uniwersytetów ludowych, idea ta oddziaływała kiedyś i na polski ruch społeczno-kulturalny. Dziś jednak uniwersytey te, choć nadal czynne, pracują w oparciu o programy pragmatyczne, jest to ważne, ale ich działalność nie buduje człowieka od wewnątrz, lecz nastawia go głównie utylitarne; wytwarza przede wszystkim w nim elementarne sprawności, potrzebne w życiu praktycznym. Być może u nas za mało jest w kształceniu takich właśnie funkcji pragmatycznych. Lecz aktualne pozostaje pytanie czy nie grozi nam bierność i zubożenie wobec spraw kultury. Teoretycznie — nie, bo żyjemy w ustroju socjalistycznym, który kulturze przypisuje rangę szczególnie wysoką wśród wszystkich poczynań społecznych, pragnie też, by konstytuowała się sens ludzkiego życia i bogactwa człowieka wewnątrz. Ale byłaby to odpowiedź niepełna. Teoretycznie bowiem można założyć, że rosnący dobrobyt i związane z nim elementy materialne życia społecznego, stanowią pewne zagrożenie dla tych możliwości, które chcemy otwierać przez szeroko pojmowaną kulturę. W życiu każdego człowieka istnieje pewna konkurencja potrzeb: potrzeby natury materialnej mogą, w określonych warunkach, ograniczać lub wypierać potrzeby natury duchowej. Jeśli chcemy uchronić się od tego, bogactwo życia duchowe narodu, czyniąc człowieka bardziej myślącym, bardziej wrażliwym i bardziej oddanym sprawie ludzkiej — winniśmy określić warunki i środki działania, które realizację naszej kultury umożliwią. Jednym z tych środków działania jest właśnie ruch społecznych towarzyszy kultury. Dlatego w socjalistycznej polityce kulturalnej ruch ten będzie zawsze traktowany z szacunkiem i nadzieją.

W związku z tym co teraz zechcieliście nam powiedzieć — pytanie ostatnie. Ministerialny „Program rozwoju kultury” sięga niemal schyłku stulecia. Wówczas to ci, którzy dziś dopiero debiutują w sztuce lub zaledwie sposobią się do aktywnego uczestnictwa w kulturze, osiągną wiek średni i zaczynają przemawiać odpowiedzialność za dalszy rozwój kultury narodowej. Patrząc dziś na nich, dostrzegamy w tej generacji wiele wad i przywar — ahistoryzm, indyferentyzm ideowy, przedkładanie karier ponad wartości! Ale przecież patrząc na nich, patrzymy w przyszłość — jaka stąd wynika prognoza dla polskiej kultury?

JÓZEF TEJCHMA: Jest to pytanie, które dotyka zadania niezwykle istotnego, posiadającego charakter ideologiczny. Rozumiem, że chodzi o konfrontację naszego przyszościowego „Programu z pewnymi zjawiskami, które przynosi nam potoczna obserwacja społeczna. Można to ująć tak — obserwujemy u młodzieży zjawisko odwracania się od wartości wyższego rzędu. Nie rozstrzygamy jeszcze, czy obserwacja ta jest w pełni uzasadniona. Ale pytanie jest uzasadnione i ważne. Gdyby bowiem powstawały i utrwały się takie postawy, które manifestują indyferentyzm wobec istotnych wartości życia ludzkiego, stanowiących zresztą treść ideologiczną socjalizmu, byłoby to zagrożenie dla kultury. Mogłoby wprowadzić powstawać wówczas wspaniałe teatry, filharmonie, rozwijałoby się produkcja książki, ale wszystko to pozbawione byłoby głębszego sensu, bo nie trafiałoby do odbiorcy, poszukującego tego, co teatr, filharmonia i książka proponują.

Mnie jednak, że nie należy tak pesymistycznie oceniać postaw naszej młodej generacji wobec świata wartości i reprezentującej go kultury. Wydało mi się, że dzisiaj i w przyszłości, podobnie zresztą jak w przeszłości, są i będą istnieć liczne grupy młodych ludzi, wyróżniających się takim stosunkiem do życia, który natchniony jest dążeniem do urzeczywistnienia ideałów i potrzeba ich posiadania. W życiu codziennym ludzie ci nie są może dostrzegani, ale w historycznym procesie rozwojowym, w ostatecznym rachunku, to najbardziej produkcyjne grupy będą określały kierunki i kierunki myślenia oraz poziom aspiracji społeczeństwa. Takie grupy również dziś istnieją w młodym pokoleniu, i zawsze będą się one pojawiać w przyszłości. Dlatego optymistycznie, w gruncie rzeczy, oceniam perspektywę potrzeb społecznych w dziedzinie kultury. Zostały już one rozbudzone i, mam nadzieję, że w przyszłości zostaną podtrzymane oraz rozbudowane. W naszych warunkach

ustrojowych można bowiem — jak już mówiłem — uniknąć tego, czego nie udało się uniknąć w wielu bogatych krajach zachodnich — anacjonalizmu pomiędzy dobrami materialnymi a wartościami duchowymi. Tam postęp cywilizacyjny jak gdyby redukuje ludzkie życie duchowe, prowadzi do zawężenia się życia kulturalnego. Naszym założeniem ideowym i celem politycznym jest harmonijny rozwój osobowości ludzkiej, konstytuowanie bogatego wewnątrz i równocześnie wyposażonego w dobra materialne obywatela — współtwórcy społeczeństwa wyższego rzędu: rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego. A jak te założenia realizować — mówiliśmy przed chwilą, i nadal będziemy o tym myśleli.

Można tu zresztą sięgnąć po spostrzeżenia, których dostarcza nam aktualna rzeczywistość społeczna. Niedawno zakończył się w Kielcach festiwal młodzieży szkolnej. Uczestniczyłem w nim, i to, co tam zobaczyłem, jest optymistyczne. Widziałem zespoły muzyczne, teatralne, plastyczne, chóralne — na bardzo wysokim poziomie. Widziałem młodzież, dla której uczestnictwo w kulturze jest wielką przygodą, a jest to uczestnictwo właśnie czynne, twórcze. Młodzież ta posiada już dziś niemałą znajomość naszej tradycji kulturalnej i tego, co aktualnie dokonuje się w polskiej kulturze. To pocieszające, że już w szkole formuje się to zafascynowanie kulturą artystyczną, i — miejmy nadzieję — fascynacja ta będzie wzrastała u tej młodzieży z wiekiem.

Pocieszające są również przykłady aktywności kulturalnej wielu ośrodków, tradycyjnie uznawanych za mało ruchliwe, nie posiadające wyższych aspiracji. Mogę tu dać przykład Białogostoku: to, co tam ostatnio zostało zrobione jest unikalne nie tylko w krajowej, ale wręcz europejskiej skali. Mam tu na myśli stworzenie w latach siedemdziesiątych materialnej bazy dla rozwoju kultury: nowy budynek filharmonii; dobrze pomyślany, budujący się obecnie gmach teatru lalek; nowe salony wystawiennicze; remont teatru dramatycznego, który został wyposażony w nowoczesną aparaturę, a wewnątrz usprawniony i upiększony; trwający jeszcze remont budynku fakultetu łaskarskiego PWST; zespół placówek kształcenia artystycznego. Mam jednak przede wszystkim na myśli gwałtowny rozwój ambicji białogostockiego środowiska twórczego. A są to przecież wszystkie zjawiska ostatnich kilkunastu lat, które owocować będą w przyszłości bliższej i dalszej, również tej, o której mówiliśmy — sięgającej schyłku stulecia.

Wymieniłem również inny ośrodek, będący od dwóch lat, nowym województwem — Słupsk. Realizują się tam znane w kraju festiwale plastyki, które stały się rodzajem drogi każdego młodego pianisty do sławy. Wyróżnienie na tym festiwalu jest ważnym wydarzeniem w biografii muzyka, jego legitymacją do społeczności uznanych artystów. A przecież Słupsk to miasto geograficznie bardzo odległe od krajowego centrum kulturalnego, odzyskane przez Polskę po wojnie, i teraz — własną aktywnością — wybijające się ponad to, co zwyczajowo uważamy za prowincję.

Są to tylko przykłady, ale świadczą one o tym, że siły, które są zainteresowane rozwojem kultury nie wygasają, przeciwnie — wzmacniają się, rozbudowują, liczą nowe dokonania, przygotowują nowe inicjatywy. Mam w kraju wielu twórczych ludzi, intelektualistów, artystów i organizatorów kultury, pojawiają się konstruktywne inicjatywy w nowo powołanych województwach, w realizacji tych inicjatyw uczestniczą również ludzie bardzo młodzi, którzy wraz z tymi województwami awansują. To wszystko razem gwarantuje, że „Program rozwoju kultury na lata 1975—1990”, opracowany w Ministerstwie Kultury i Sztuki, a uchwalony przez Biuro Polityczne KC PZPR, zostanie przez nas wszystkich zrealizowany.

Dziękuję, Towarzyszu Premierze, że wyraziłicie zgodę i znaleźliście czas, by udzielić mi tego wywiadu. Moja redakcja, a w szczególności nasi czytelnicy, za ważne wydarzenie uznają fakt, iż Wasz komentarz do tegorocznej inauguracji sezonu kulturalnego ukazuje się właśnie w prowincjonalnym czasopiśmie kulturowym. Jest to dobry znak dla prowincji i jej przyszłego kulturalnego awansu.

Rozmawiał:
**KLEMENS
KRZYŻAĞÓRSKI**

Wywiad powyższy drukujemy z nielicznymi skrótami za miesięcznikiem „Kontrasty”.



MIROSŁAW KUŹNIAK

DOMY LOHNWEBRÓW

Najpierw zacznijmy od łyżek... prostych, lipowych łyżek. Może nie powinienem nazywać ich łyżkami, lecz łyżkami, bo nie pasuje do nich zdrobnienie, nic w nich takiego, co by uprawniało do tej miękkości. Koją się nieodparcie z ciężką garścią, która ujmowała je niespiesznie, by odmierzoną ręką przebiec przez przestrzeń: od michej do ust. Od ust do michej. Z powrotem. Niepiękną są te drewniane łyżki, a przecież mimo prostoty każda z nich jest inna, niepowtarzalna. Oto najprostszą, grubo ociosaną, może i najbrzydszą, lecz próżno szukać podobnej. Ten, który ją strugał z lipowego drzewa spieszył się, byle jak obrobił, być może w tym czasie, gdy on mozolił się nad kawałkiem drewna, stygła już na stole micheja gorącego żuru. Lecz oto inna łyżka: jełcza z czasów pierwszej światowej. Łyżka ma krótki, nieremny trzonek i szeroki, baniasty czerpak. Przed czerpaki jest lekko podwyższony; jedną zaś z bocznych ścianek nieznanymi właścicielami lekko spłaszczył. Chodziło o wygodę, o to, aby z łyżki nie uronić nawet kropelki pokarmu. Dlatego właśnie w czasie posilku przechylało się ją bokiem, uważając przy tym na to, aby łyżkę jak najdłużej utrzymać w pozycji poziomej.

Nielekkie życie musiał mieć ten z tej pierwszej światowej, skoro tyle sprytu, tyle pomysłowości włożył w wystruganie tej swojej łyżki. Jeszcze prostsza niż tamta, grubo ociosana, nieforemna. Łyżka-niespodzianka: w środku czerpaka, dwie duże jak śliwy dziury. O, biedny użytkownik! emhadowskiej łyżki z aluminium! Ani zgadujesz przeznaczenia tej, lipowej. A jest to łyżka do kłusek, łyżka-dziwo, tak skonstruowana, by można nią wyciągnąć kłusek z wody. A jest jeszcze łyżka-matuzalem. Półczarna, z mizernym kikutem trzonka. Łyżka-weteranka.

A z boku siostra naszej łyżki: szufla. Tak, tak. Jakby nie spojrzeć, to przecież szufla jest bliską krewniaczką łyżki. A więc szufla. Prosta, surowa. Tu widzisz już tylko przarą, nieciekawą funkcjonalność. A naprawdę! Popatrz uważnie. Oto czerpak w kształcie prostopadłościanu, ten zaś płaski, ten okrągły. Ta szufla kończy się krótkim trzonkiem, ta długim... A tu jeszcze krewniaczka naszej łyżki, po mieczu i po kądzieli, po jadle i po biedzie: miska. Nie rozwijamy się tutaj, co było pierwotnie: łyżka czy micheja, kura czy jajo. Są. Były. Będą.

Bez człowieka łyżka jest martwym, niepotrzebnym, może nawet trochę śmiesznym przedmiotem. Ale w tym przypadku nie reporter wyszukał owym łyżkom właściciela.

...o Jerzym Wieczorku dowiedziałem się przypadkowo. Kiedyś, przed laty, współpracował jako plastyk z Wydawnictwem Łódzkim, ozdabiając okładki książek miejscowych autorów.

Potem jeden z moich znajomych był na wystawie akwaeli pana Jerzego. W pamięci mojego znajomego pozostał tylko temat wystawy: Stary Zdzierz.

Jerzy Wieczorek szerokim gestem zaprasza mnie do mieszkania. W przedpokoju zatrzymaliśmy się przed ścianami obwieszonymi łyżkami, miskami, szuflami, narzędziami stołowymi. Wieczorek objął rolę przewodnika po tym swoistym domowym muzeum. Właśnie wtedy usłyszałem historię łyżki jełcza, łyżki-weteranki i innych. A było tych opowieści sporo, bo i samych łyżek wisi na ścianie ponad tysiąc.

Kiedy zasiadliśmy w fotelach, spytałem Jerzego Wieczorka, czy uważa się za kolekcjonera. Skądże — wykrzyknął gospodarz — chciałbym od razu wyjaśnić tę kwestię. Nie jestem kolekcjonerem staroci, zbieraczem, jakich tysiące krepi się po pchlich targach. Jestem miłośnikiem Zgierz, społecznym opiekunem jego zabytków. Podjąłem się sam, bez żadnego pośrednictwa, czy nakazu czuwać nad tym, co pozostało z przeszłości Zgierza. Zgierz jest miastem robotniczym, toteż interesują mnie pamiątki dotyczące dzieł robotniczych. Uważam, że my w ogóle za mało wiemy o przeszłości robotników, o ich dniu powszednim, o ich życiu rodzinnym, o obyczajach i kulturze. Dzieje robotnicze to dla nas, jakże często dzieje strajków, walki rewolucyjnej. O dniu powszednim mało umiemy powiedzieć. Zgierz jest miastem, w którym przeszłość jest widoczna na każdym kroku. Przez wiele lat nie dbano o nią, toteż zająłem się nią ja, zgierzanin, z zamiłowaniem etnograf, z zawodu plastyk.

Wolno było reporterowi — niczym demiurgowi — przydać łyżkom człowieka, niechaj będzie mu wolno przydać człowiekowi dom. Domów w Zgierzu nie brakuje. Jest ich ponad sto: malych, drewnianych domków tkaczy. Domki lohnwebrów — mówi pan Wieczorek — mają ponad 150 letnią historię.

Musiłem więc — rad nierad — chcąc poznać ich przeszłość, z reporterem przemienić się w cierpliwego archiwistę. Pomogła mi w tym Jajwiga Czapińska, przewodnicząca Komisji Historycznej TPZ. W niewielkim pomieszczeniu Towarzystwa, tuż nad Miejską Biblioteką, znalazłem wiele dokumentów dotyczących starożytności Zgierza.

To one przeniosły mnie do początków XIX wieku, w pierwsze lata istnienia dzielnego, pokongresowego stoworu, zwanego Królestwem Polskim. Oficjalnie rządził w nim carski namiestnik, lecz istniał także rząd złożony ze światlejszych Polaków. Wówczas to w Ministerstwie Spraw

Wewnętrznych, dyrektorem Wydziału Przemysłu i Kunsztów, został Stanisław Staszic. Już za czasów Królestwa Warszawskiego, Staszic snuł plany rozwoju przemysłu włókienniczego na ziemiach polskich poprzez sprowadzanie obcych rzemieślników, przede wszystkim sukienników, których wielu zamieszkiwało pogranicze zaboru pruskiego... Owcześnie rząd Królestwa wydał nawet dwa dekryty, które przyznawały zagranicznym rzemieślnikom znaczne ulgi podatkowe, zwolnienie od służby, itd. Pierwsi osadnicy zaczęli przybywać do Królestwa. Przyjmowali ich chętnie właściciele malych miast, na przykład Starzyński z Ozorkowa oraz Bratoszewski z Konstanczyna. Ta właśnie pierwsza, jeszcze bardzo nieliczna imigracja obcych rzemieślników, zwróciła uwagę rządu Królestwa Polskiego na ziemie ówczesnego województwa mazowieckiego.

Nie wiem jednak, czy tak potoczyłyby się losy Zgierza, Ozorkowa, Łodzi, gdyby nie inna ówczesna postać: Rajmund Rembelski, prezes Komisji Wojewódzkiej Województwa Mazowieckiego. Rembelski był nie tylko wykonawcą poleceń Rządu Królestwa, ale także światłym, wszechstronnie wykształconym organizatorem, który własną inwencją i energią wzbogacił otrzymane dyktawy. Niestrudzony w objazdach, po wielokroć przemierzał wszystkie miasteczka swojego województwa. O zabiegach, jakie podejmował, aby mieć jeszcze osady przeksztalcic w ośrodki przemysłowe, można by napisać rozprawę.

Po jednej z wizyt w Zgierzu, tak zanotował w swoim raporcie: „Kształt miasta nieforemny, rozrzucone i w złym stanie domy, bez targów i łarnarków, chociaż nie brak mu na przywilejach, w ogólności na nazwisko miasta nie zasługujące”.

Tak wyglądał Zgierz przed rokiem 1820. Rembelski w czasie objazdu miast i miasteczek województwa mazowieckiego, zastał w Zgierzu 15 osadników, którzy przybyli tu jeszcze w 1809 roku. Ale owych piętnastu pierwszych tkaczy nie mogło znaleźć w mieście nad Bzurą miejsca, gdyż mieszczanie zgierscy nie chcieli im odsprzedać placów na budowę domów oraz „nie udzielał na budowę drzewa”. Rembelski uparł się jednak przy tym, aby urzeczywistnić swoje województwo. W piśmie z dnia 1 września 1820 roku, wyjaśnia, że właśnie Zgierz, Łódź, Dąbie, Przedez, Gostynin, powinny stać się miastami przemysłowymi, bowiem „we wszystkich znajdują się bieżące wody konieczne do foluszów i farbiarni potrzebne”.

Zgierz miał jeszcze jeden walor. W opisie miasta sporządzonym w 1860 roku przez prezydenta Michała Blumenfelda wyczytać można, że „odległość m. Zgierza od miast okolicznych jest: do Łodzi wiorst 12, do m.

REPORTAŻ

Strykowa wiorst 14, do m. Konstantynowa wiorst 12, do m. Aleksandrowa wiorst 7, do m. Ozorkowa wiorst 14, do miasta powiatowego Łęczycy wiorst 30, do m. Warszawy gdzie jest gubernia wiorst 119".

Zgierz miał więc w stosunku do innych miast położenie centralne, co dla osadzących się rękodzielników miało niebagatelne znaczenie. Już na początku 1821 roku pojawia się w mieście nad Bzurą trzech pierwszych poważnych osadników: kupiec i fabrykant Georg Jan Viertel, farbiarz Gottlieb Karol Saenger oraz farbiarz Henryk Jan Teske.

Z nimi to komisarz wojewódzki Wydziału Administracyjnego Województwa Mazowieckiego K. Witkowski zawarł umowę, nazwaną później umową zgierską.

Już w kilka miesięcy po zawarciu umowy, do miasta zaczynają przybywać osadnicy. Jedni bogatsi, z całym wyposażeniem przyszłych farbiarni i foluszów, inni zaś, biedniejsi, z niewielkim dobytkiem, w którym i tak najważniejsze miejsce zajmował warsztat tkacki. W pobliżu Bzury, na wytyczonych ulicach, szybko powstaje kolonia domków pierwszych sukienników.

Wieczorek twierdzi, że w Zgierzu do końca XIX wieku stało ponad trzysta domków tkackich. Budowali je zgierscy tkacze według planu ułożonego przez R. Rembielińskiego. Choć zewnętrznie te domki są podobne do siebie, to przecież różnią się w wielu szczegółach. Przede wszystkim budowane są różnymi metodami: na węgiel, na zrąb i przy słupie. Tym trzecim sposobem — najczęściej występującym w Zgierzu — budowali najbiedniejsi, wkładając między poszczególne ciągi desek, długie, pionowe bale. O stopniu zamożności tkacza świadczyły jednak dachy, jedno lub dwa spadowe. Bogatsi kładli dachy naczółkowe, ścięte, trochę podobne do dachów podhalańskich gądołek. Różniły się te domki także i innymi szczegółami, takimi jak ornamenty, zdobienia drzwi, okien, zamków.

Większość pierwszych domków tkaczy utworzyła kolonię, którą później sami zgierzanie nazwali Nowym Miastem. Nowe Miasto to dzisiaj centrum Zgierza.

Gospodarz zaprasza mnie na przechadzkę po Zgierzu. Przekona się pan naocznie, co zostało z dawnego Zgierza — powiedział. Pójdziemy ulicami Starego Miasta: Dobra, Średnia, Wesola, Zegrzańska, Szczepińska, Wodna, Gęsia i innymi. Dziś noszą one te nazwy, ale o to nie będę kruszył kopii, nazwy ulic zmieniły się w wielu miastach. Pójdziemy ulicami, których zabudowę przed kilku laty Ministerstwo Kultury i Sztuki uznało za za-

bytek architektury robotniczej nie mający sobie równych w całej Polsce. Domki lohnwebów zostały uznane za zabytki III i IV klasy. Nie są to więc budowle, którymi chwalimy się przed przybyszami. Ważne jest jednak to, że już dziś uznane zostały za zabytki.

Zatrzymujemy się na Świerczewskiego, a więc tam, którą codziennie przejeżdżają tramwaje podmiejskie. Oto pierwszy domek tkacki: już bez dachu, straszą wybite okna, gdzieś tam sterczą przegniłe, potamane deski.

To moje pierwsze zetknięcie się z domkami zgierskimi tkaczy nie jest budujące. Ten obraz ruiny, zniszczenia, towarzyszyć nam będzie w czasie całej wędrowki.

— Powiedziałem panu — dodaje Wieczorek — że w Zgierzu było ponad trzysta domków tkackich. Jeszcze przed kilku laty stało ich ponad 120. Dziś zostało niewiele ponad 100. Co stało się z resztą?

Na wyburzenie części domków — mówi — wydał zezwolenie wojewódzki konserwator zabytków. Miasto wciąż się rozbudowuje, planiści, urbanisci ciągle krzyczą, że brakuje w Zgierzu miejsca na nowe domy. To jedna z przyczyn wyburzania domków. Druga — wcale niebagatelna — to ta, że domki te są w fatalnym stanie technicznym; a jednak wiele spośród domków tkackich mogłoby dotąd stać, gdyby nie ich mieszkańcy. To oni systematycznie niszczą mieszkania, zapuszczają grzyb, dewastują ściany i podłogi. Robią to z prostego wyrachowania. chcą bowiem dostać nowe mieszkania w blokach, chcą przyspieszyć przydział spódniozycielczych mieszkań. Rozumie ich, każdy chce przecież mieszkać lepiej, wygodniej, ładniej, a w zgierskich domkach dotąd nie ma wody, gazu, ubikacji. Jak pogodzić te ludzkie chęci z potrzebą, ba, koniecznością ocalenia tego kapitalnego dokumentu dziejów robotniczych?

Było kilka projektów. Jeden przewidywał pozostawienie tylko części domków jako skansenu. Ale tu Jerzy Wieczorek zaprotestował jako społeczny opiekun zabytków. — Musiałem wszystkim tłumaczyć — mówi teraz — że wartość domków zgierskich tkaczy leży nie w ich indywidualnej urodzie, bo ładniejsze domy tkaczy są chociażby w Ozorkowie, ale w ich masie, w ich skupisku, w ich układzie urbanistycznym, największym, jaki pozostał w Polsce. Utworzenie skansenu spowodowałoby, że pozostałe domki przestałyby być remontowane, a do tego nie chcę dopuścić. I rzeczywiście nie dopuścił. Z pomysłu skansenu pozostał tylko fragment ulicy Narutowicza, tuż przy ulicy 17 Stycznia, w którym zachowano w całości starą zabudowę oraz fragment dawnej zabrukowanej kamieniami ulicy. Z tym brukiem na ulicy Narutowicza to była cała sprawa. Władze miasta



postanowiły, że ulica będzie wyasfaltowana. Rozpoczęto układanie asfaltu, gdy miłośnicy Zgierza podnieśli krzyk. To jest stary bruk, układany na początku XIX wieku i powinien, choć we fragmencie pozostać. No i doprowadzili do tego, że asfalt wylano tylko na początku i na końcu ulicy. Najmniej z tej interwencji społecznej opiekuna zabytków zadowoleni byli mieszkańcy ulicy Narutowicza. Oni chcieli mieć przed oknami asfalt! Na szczęście do kiłtni nie doszło, a na Narutowicza pozostał stary bruk. Nie zawsze jednak udawało się z władzami. Zresztą nie w tym dziwnego, bo za racjami miasta stoją raczej ludzie czekający latami na mieszkania, chcący mieć w swoim mieszkaniu nowe kino, kawiarnię, klub. Tylko gdzie je budować, czy rzeczywiście w środku miasta, na miejscu starych domków lohnwebów? Czy można pogodzić to nowe, wkraczające do Zgierza wraz z blokami z tym starym, a więc domkami lohnwebów? Wieczorek ma tu swoją oryginalną receptę. Uważa, że domki tkaczy można i trzeba wykorzystać zgodnie z nowymi potrzebami. Musimy — powiada — wyprowadzić z większości tych domków mieszkańców. Natomiast do opustoszałych izb można by wprowadzić rzemieślników: krawców, szewców, introligatorów. Mój Boże, kiwam głową, który z rzemieślników zgodził się na przeniesienie do pomieszczenia bez wody, gazu i ubikacji. Znajdźcie mi takiego naiwnego.

— Utrzymajmy te domki — mówi pan Jerzy — jeszcze z pięćdziesiąt lat, a zobaczy pan, że staną się zabytkami pierwszej, może nawet zerowej klasy. A przynajmniej konserwujemy je i rewoloryzujemy w nich to, co dotąd niszczało.

Przypominam panu Jerzemu, że większość tych domków była już wielokrotnie remontowana, a w niektórych dokonano nawet remontów kapitalnych.

Pan Jerzy macha ręką. Przy kapitalnych remontach, równie kapitalnie je zniszczono. W wielu mieszkaniach zmieniono stare, dziewiętnastowieczne zawiasy przy drzwiach. Gdy urwał się jeden zawias — na przykład górny — zrywano również dolny i wstawiano... nowe drzwi.

— Pokażę panu takie nowe, ładne, pilśniowe drzwi, tam, gdzie do niedawna stały pięknie zdobione, rzeźbione drzwi lohnwebra. Przy wielu oknach nie ma już starych zawiasów, wykutych przez zgierskich kowali. A były wśród tych zawiasów rarytasy, rzadkiej piękności, kute w przeróżne wzory roślinne i zwierzęce.

Doszlśmy do ulicy 1 Maja. Ten domek — wskazuje mój cicerone — jest już przeznaczony do rozbioru. Chętnie bym zdjął jeden z zawiasów okiennych. Proszę spojrzeć, jaki ma piękny wzór kwiatowy. Zresztą w prawie każdym domku można znaleźć równie piękne.

Przed kilku laty Jerzy Wieczorek postanowił utrwalić stary Zgierz w swoich akwarelach. Domki tkaczy, chałupiny wiejskie, bo i takie można znaleźć w tym robotniczym mieście, waskie i ciemne uliczki Nowego Miasta, to tematy wielu jego prac. Wystawiał je na kilku ekspozycjach, ale — jak twierdzi — nie to było naj-

wiekszym sukcesem malarskich wypraw. Dokładnie obejrzał wszystkie domki w mieście, do wielu mieszkań zaglądał, rozmawiał z ich właścicielami. To chyba wtedy postanowił ocalić to, co jest jeszcze w tych domkach do ocalenia: piękne zawiasy, zamki, wykładki oraz przynajmniej część wyposażenia robotniczych mieszkań. Wtedy zapoczątkował swój zbiór starych łyżek, szufl, misek. Nielatwo było zdobyć każdą z tych rzeczy. Na przykład, zobaczył w którymś z mieszkań starą, drewnianą łyżkę. Mówi, że chętnie by ją kupił. Pyta więc gospodyni, ile zapłaci. Odpowiada: pięćdziesiąt złotych. Kreśli głową, że mało. Kiedy odchodził bez łyżki, była pewna, że jutro, pojutrze, dostanie za to cudo, bo ja wiem, tysiąc złotych. Gdy wrócił po miesiącu łyżki już nie było: spaliła ją gospodyni w piecu, bo ma ją wymiatać, że chce handlować starym rupieciem. Te łyżki, które wiszą w jego przedpokoju nie mają już żadnej wartości użytkowej. Natomiast nie trzeba nikogo przekonywać o ich niewymiernych wartościach kulturowych. Albo o tym ich poprzedni właściciele nie mieli zielonego pojęcia, a gdy próbował im to tłumaczyć, śmiali się lub w najlepszym przypadku wzruszali ramionami.

Jeszcze inaczej zabrał się Jerzy Wieczorek do ratowania starej roboty zgierskich kowali: zamków, zawiasów, wykładek. Tu odwołał się do swoich doświadczeń plastycznych. Po prostu postanowił odcisnąć, a może raczej przekalkować stare części domków. Nieraz wynikały z tego zabawne sytuacje — mówi Jerzy Wieczorek. Zdarzało się, że pukalem do drzwi nadaremnie. Nikt mi nie otwierał. W domkach lohnwebów mieszkają ludzie starzy, niechętnie otwierający drzwi obcym. Gdy zobaczylem w oknie jakiś ładny, nietypowy zawias, nie dawałem za wygraną. Pukalem do skutku.

W 1820 roku Zgierz miał szansę, jedyną i największą w swej 650-letniej historii, zrobienia kariery na miarę Łodzi. Miał być centrum przemysłu włókienniczego. I był, ale tylko przez jedenaście lat. Po roku 1830 skończył się boom wełniany, przyszedł okres panowania bawełny. Król Zgierz musiał oddać berło królowej Łodzi.

W najlepszych dla Zgierza latach postawiono tu przeszło 500 domów, wiele z nich było murowanych, ale większość, zdecydowana większość to drewniane domki tkaczy-nakładców.

Dzisiejszy Zgierz jest wierną kopią XIX-wiecznego. Przez całe dziesięć lat niewiele się zmieniło w układzie urbanistycznym miasta. Jeśli budowano, to w granicach wytyczonych w czasach Rembielińskiego. Dla etnografa, dla historyka sztuki w tym właśnie tkwi uroda Zgierza. Dawne fabryczki zgierskich królków wełny są teraz znanymi firmami. Noszą imiona zgierskich tkaczy. Ale prawdą też jest, że w ciągu lat substancja fabryczna Zgierza nie przyrastala, nie przybywało nowych fabryk. Część zgierzan musiała zająć się rolnictwem. Nie więc dziwnego, że Zgierz po pewnym czasie stał się miastecz-

kiem, gdzie obok tkacza mieszkał chłop, gdzie ogródki działkowe stykały się z zagonami pszenicy i żyta.

Przemysł i rolnictwo egzystowały tu na równych prawach. Dla postronnego obserwatora dzisiejszy Zgierz pozostał cichym i spokojnym miasteczkiem. Jego powolny, jakby senny rytm zakłóca tylko skrzypiący i brzęczący tramwaj, który co kilkanaście minut wjeżdża na rynek. Tu kończy bieg. Na krańcówce już czeka kilku pasażerów. Do szczytu, to znaczy do wczesnych godzin popołudniowych, kiedy to z Łodzi zaczynają wracać uczniowie, a z fabryk robotnicy, brakuje jeszcze kilku godzin.

Dziś Zgierz ma nową wielką szansę: stał się częścią aglomeracji łódzkiej. Opiekę nad zgierskimi zabytkami przejął wojewódzki konserwator. Poszedłem więc do Ośrodka Badań i Dokumentacji Zabytków, aby tam posłuchać, co fachowcy powie-
dzą o zgierskich domkach tkaczy.

Przyjął mnie pracownik ośrodka Andrzej Majer. Od niego to dowiedziałem się, że domków lohnwebów nie da się uratować. Przynajmniej nie wszystkich. Dlaczego? Działają przecież w mieście Pracownia Konserwacji Zabytków. Pracownia powstała niedawno, ledwie startuje, nie ma więc „mocy przerobowej”, aby podjąć się tego zadania. Większość domków lohnwebów jest już tak zniszczona, że nikt już ich nie uratuje.

Nie bez powodu troskał się Jerzy Wieczorek o utrzymanie starego układu urbanistycznego Zgierza. Miasto zaczęło się przebudowywać. Inżynier Kardaszewska z Biura Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi przed dwoma laty przedstawiła projekt zagospodarowania śródmieścia Zgierza. Projekt trafił do wojewódzkiego konserwatora. Andrzej Majer niechętnie wspominał tę pierwszą koncepcję, która — co tu ukrywać — zakładała zmiany w układzie urbanistycznym miasta. Wojewódzki konserwator odesłał projekt inż. Kardaszewskiej do Głównej Komisji Konserwatorskiej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. Projekt wrócił do poprawek. Dziś jest już przyjęty i nie zakłada tak dalekiej ingerencji w stary układ przestrzenny miasta. Jest to bezapelacyjny sukces i wojewódzkiego konserwatora i społecznego opiekuna zabytków Jerzego Wieczorka. No dobrze, a co będzie z domkami tkaczy? Zostaną wyburzone. W utworzonym rezerwie, jak nazywa Andrzej Majer skansen, pozostanie tylko kilkanaście.

Fragmenty reportażu z tomu przygotowanego dla Wyd. Łódzkiego.

Zdjęcia: Włodzimierz Parys



RYSZARD DOMINIĄK

DECYZJA



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Kiedy kilka dni temu choroba zmogła Martę, w umyśle Michała pojawiło się to ukrywane od kilku lat pytanie — co dalej? Co on, Michał Perkosz, uczyni, aby dorobku swego życia nie zaprzepaścić? Rozważał te sprawy wielokrotnie. Mógłby na przykład w zamian za rentę przekazać ziemię państwu. Mógłby po prostu ją sprzedać, ale tego rodzaju ewentualności są w jego pojęciu ostatecznością. Stary Perkosz ciągle jeszcze ma złudzenia. Ciągle czeka na powrót syna. Ale ten jego najmłodszy, najukochańszy Józio nie wraca. Więc jak to będzie?

Szare, jakby wypłukane przez deszcz oczy Michała spoglądają w rozpięty błękit, w którego zenicie wisi słoneczna kula. Na moment oślepił go jej biały żar. Musiał za cisnąc powieki i wtedy zatoczył się. Poczuł jak ta siedząca w mózgu zgryzota osacza jego ciało i wywołuje fizyczną niemoc. Przez chwilę kręcił się nawet i potykał na tej pełnej wybojujów drodze i dopiero krzyk przelatującego nad głową ptaka sprawił, że wróciła pełna świadomość i równowaga. Przyspieszył kroku. Po chwili osiągnął szczyt wzgórka, którego widać było tonące w zieleni drzew chałupy wioski, w której gospodarzył.

Przełożył zawiniątko, bo dłoń mu spólniała i potoczył wzrokiem po oplotach własnej zagrody. Uwięziony u zerdzi kundel czekał z zawieszonymi na szyi kłosa. Dopiero teraz przypomniało mu się, że w mieszkaniu czeka pielęgniarka. Kiedy rano wybierał się do miasteczka po lekarstwa, wstał po drodze do Ciesiaków i umówił się z ich córką, aby w południe przyszła do jego babi zastrzyk zrobić. Widocznie pielęgniarka czeka na niego, kiedy pias tak wściekle ujada.

Stał teraz przy łóżku swej żony i obserwował jej twarz. Odnosił wrażenie, że oddech Marty był równiejszy, taki mniej zapadający się i rzadszy niż dwie godziny temu. Zaraz też doszedł do wniosku, że było to wynikiem zaaplikowania chorej lekarstw, które przywoził. Spozstrzeżenie to sprawiło, że uśmiechnął się i z tym uśmiechem nachylił nad śpiącą. Ale w miarę jak patrzył w jej twarz, odkrywał na niej te wszystkie drobne ślady, które w codziennym, wypełnionym pracą życiu były mało dostrzegalne, a które w tej chwili nabierały dziwnej wyrazistości. I kiedy tak patrzył w jej zamknięte, wsunięte w cień oczodolów oczy, na tę marszczącą się o zóhtawym polysku skórę policzków, dochodził do przekonania, że jego kobieta jest stara, i że ta przedwczesna starość jest wynikiem wieleolietniej, ciężkiej pracy. Wtedy westchnął, przgarbił się i ostrożnie stawiając kroki, wycofał się w przeciwny kąt izby, gdzie pod oknem stała komódka, a na niej obok glinianych figurek niewielkie, prostokątne lusterko. Podniósł je i przybliżył do twarzy.

— Pomroka na ślepią wiaździ, ps'a mać, niewiele życia zostało. Kiedy tak patrzył w zwierciadło, usłyszał słaby jęk, więc odłożył je i podszedł do łóżka. Kobieta, postępując przemieszcila ciało na drugi bok. Rozchyliła przy tym usta, a on myślał, że się budzi, powiedział: — Trza, abys lekarstwo wypila. Już czas.

Powiedział to szeptem, bo nie był pewien, czy nadal śpi i czy powinno się ją ze stanu uspienia wyrwać. Ale ukryte pod powieką gałki oczy kobiety zdręgały w dziwny sposób, to przedziwne zjawisko spowodowało, że jego wyciągnięta do budzenia dłoń zawisła w powietrzu i zaraz cofnęła się. Zdumiał się i przeraził. Jego baba nadal pogrążona była w śnie, a mimo to oczy jej dręgały jakby czymś porażone. Pomyślał, że to niechybna śmierć i aż mu dech zaparło z wrażenia. Co to może być?

Nie mógł pogodzić się z myślą, że jego żona wcześniej od niego mogłaby zemrzeć. Nie godziło się to jakoś z tym wszystkim, co składało się na ich dotychczasowe życie. Nie pamiętał, aby w ciągu wspólnego pożycia Marta wcześniej chorowała. Co prawda zdarzyło się, że w czasie jesien-

nych słoń nabawiała się kaszlu lub kataru, a czasem miewała i stany podgorączkowe. Zawsze wtedy otulała się szczerle wełnianą narzutką i parzyła zioła albo maliny, lub jeszcze inne jagody, które pila zamiast herbaty. Swoje niedomagania uważała za chwilowe, za coś takiego, na co nie powinno się zwracać uwagi. Dlatego ludzie mawiali mu: „Kofsk.e zdrowie ma twoja baba. Przeżyje cię, he, he...” I tak sobie pokpiwali, a jemu z upływem lat te sąsiedzkie przygaduszki przylgnęły do świadomości, wytwarzając w niej przekonanie, że tak będzie, jak ludzie mówią. Kiedy więc przed tygodniem nie mogła zwinąć się z łóżka, powiedział zdumiony:

— Co ty, Marta, naprawdę tak źle?...

Nie dokończył, bo zobaczył jej szeroko rozwarłe, nieruchome oczy, w spojrzeniu których czaiła się obojętność. Dlatego powiedział tylko:

— Nie wstawaj, zaraz sprowadzę doktora.

Wtedy jego żona odpowiedziała słabym, jękiwym głosem:

— Doktora, mówisz... Niby to tera bezpłatnie, ale zawsze trzeba pieniędzy bo...
— Przerwał jej uniesiony nagłą wściekłością:

— Pieniądze, przekłete pieniądze! Mam pieniądze, giubia, mam tyle, że wystarczy na wszystko.

Patrzyła mu w twarz tym swoim powleczonej gorączką wzrokiem, jakby nie bardzo rozumiejąc, co on wygaduje.

— Co ty mówisz, Michał?...

Powiedziała to cichym, przestraszonym głosem, a on, odgdując jej nie skończoną myśl, warknął:

— Myślisz pewnikiem, że mam zwracać, ale ja mam pieniądze, bo jestem gospodarzem, no... — uniesionym ramieniem zatoczył półkole — wszystko więc mogę sprzedać: konia, krowy, nawet ziemię.

Powtórzyła bezdźwięcznie w jakimś nie w pełni uświadomionym jeszcze osupieniu:

— Ziemię mówisz?...

— Ziemię i wszystko, co na niej jest! — dokończył i nagle przeraził się.

Przeraziła go stanowczość, z jaką wypowiedział ów tłukący się w zakamarkach mózgu zamysł. Do tej chwili nie dopuszczał nawet do świadomości podobnej myśli, a teraz powiedział o tym głośno i z takim przekonaniem, że sam się tym zatrzwożył.

Ale było to siedem dni temu i dzisiaj, kiedy nachylając się nad chorą, aby podać jej lekarstwo, wie, że musi coś takiego zrobić, mimo, że gdzieś w głębi niego samego siedzi żal ogromny. No bo jakże to? Wrócił po wojnie na dziki ugor. Ale to był jego ziemia, więc wyrwał chwasty, orał, znów wyrwał i wreszcie siał. Kiedy nabrzmiał z wysiłku żyły wyzwały z ciała, a wyschnięty język zlizywał z warg sól, przechodząc przez wal i kładł się na niskim brzegu Warty, zanurzając w chłodnej wodzie twarz i ręce. Rzeka koła fizyczny ból, przynosiła ulgę i nadzieję.

Ziemia, zamieniona przez Niemców w poligon, zakwitła. I właśnie wtedy, kiedy wydała pierwsze owoce, kiedy zbierał pszenicę bez chwastów, wyjechał do miasta najstarszy syn. Po tem wyszły za maż córki, w chałupie pozostał najmłodszy — ten, w którym pokładał całą nadzieję. Jeszcze trzy lata temu wydawało mu się, że Józio wróci z wojska i będzie gospodarzył. Ale Józio nie wrócił. Został w wojsku jako podoficer zawodowy. Decyzja syna zachwiała jego wiarę w ludzi, we wszystko to, co otaczało go dotychczas i nadawało sens jego uporczywemu działaniu. Ale z biegiem czasu w Michale zrodził się strzęp nadziei. Wynika ona z treści nadchodzących od Józka listów, w których jego chłopak żalił się na osamotnienie i dawał do zrozumienia, że tęskni za wsią. W odpowiedzi stary Perkosz przynaglał syna do powrotu, ale te jego wezwania pozostawały bez echa.

Szczególnie bolesny był dla Micha-

ła fakt, że afront spotkał go właśnie od umiowanego, którego zawsze wyróżniał, na swój sposób ucząc go zawodu rolnika i tego uczucia, które było jego zdaniem najważniejsze — przywiązania do ziemi. Ież to razy, kiedy razem robili w polu, mawiał do syna: „Słyszysz, Józio, jak żyto śpiewa? Ono zawsze tak sobie śpiewa kiedy kwitnie”. Ale Józef uśmiechał się półgębkiem i odpowiadał: „Pewnie, że zboże pachnie, a może i śpiewa, ale mnie, ojciec, grzbieć boli i lepiej by było, gdybys maszynę kupił”. Wyjeżdżał mu ciągle z tymi maszynami, jakby nie było innych, ważniejszych potrzeb, więc zrywał się stary i mówił: „Kupi się i maszynę niejedną, ale w pierw ja łówkę trzeba, bo trawa na wygonach po pas”. A potem ciągle były jakieś pilniejsze potrzeby i dopiero kiedy Józek szedł w rekruty, Michał nabył kosiarkę i koparkę ziemniaczaną jednocześnie. A potem kiedy zadoktrynował przyniosło nadszpedzane żytko, Perkosz kupował takie lub inne ułatwiający pracę urządzenia, bo był sam i sił nie starczało. W wolnych chwilach brał w rękę książki rolnicze, bo rozumiał, że minęły te czasy, w których siało się z płachty, a jedynym nawozem był obornik. W oczach mieszkańców wsi Michał zyskał sobie miano człowieka światłego i był z tego dumny. Tak, to wszystka prawda, ale co dalej?

— Nawet i dobrze, żeś się zbudził, bo lekarstwo trza wypić.

Nie pomogły lekarstwa. Zmarło się Marcie w któryś tam dzień września, kiedy od pola ciągnęło pierwsiym chłodem jesieni. Teraz jego baba leży sobie w trumnie pięknie przystrojona w batystowy czepek i suknię z musliu. Cztery umieszczone po rogach świece rozpraszają mrok tego urządzonego z izby przedsionka grobu. I jeszcze jakieś kwiaty, laurowe drzewka... Mdy, słodkawy zapach wypełnia mieszkanie i sprawia, że z twarzy Michała ucieka krew, a czoło pokrywa się kroplami potu. I gdyby nie córka, pewnie zwałiby się na podłogę. Ale ona w porę zauważyła te jego zmiany, bo krzyknęła:

— Jakiś ty błąd, ojciec, co z tobą?!

Wtedy z przyległej izby weszła jego druga córka i powiedziała rzeczowo:

— Trza go na powietrze. No, czego się gapiasz?

Słyszał głosy i czuł, jak córki biorą go pod ramiona, jak nagle oślepił go słoneczny blask. Wtedy oszołomianie wzmogło się na tyle, że poczuł, jak pod nogami traci grunt. Ocknął się z omdlenia, kiedy córka spryskowała mu wodą twarz.

Wracali z cmentarza w blasku czerwonej zorzy zachodzącego słońca. Córki opowiadały coś synowej przycisnionymi głosami i ten fakt w pewnej chwili zaintrygował go do tego stopnia, że zwolnił krok, usiłując je podłuchać. Chciał wymiarkować, co też one między sobą papają, ale ten jego najmłodszy rozprawił zbyt głośno, jakie to w wojsku ma teraz dobre życie, więc nie mógł uchwylić ani jednego słowa. Gdy Józek wręczał swe wywody, niespodziewanie odezwał się Antek:

— I kto by to pomyślał, że Józio wojakiem zostanie. Ojciec sposobił cię na gospodarza, a ty co? — I dokończył filozoficznie: — Lekki chleb lepiej smakuje, co?

Ale Józek jakby nie wyczuwał zawartę w słowach Antka złośliwości. Uśmiechał się głupek i ten jego uśmiech wzbudził w Michale gniew srogi. Pomyślał z wściekłością, że jego najstarszy zamiast paść ojcowi do nóg i o przebaczenie prosić, kpił sobie z niego i dworuje w żywe oczy, a ten głupek, najmłodszy, jeszcze się z tego śmieje. Taka w nim złość wezbrała, że zatrzymał się przed Józkiem i już chciał go trzasnąć w gębe, ale ohamował się, bo wracali z pogrzebu, a na drodze przed i za nimi szli obcy ludzie.

— Co ci, ojciec? — zląkł się Józek. Stary zmełł w ustach przekleństwo i resztę drogi przeżył nonury ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Zasiedli przy zastawionym stole i Józek zaczął rozlewać wodkę w szklanceczki, jednak nastrój Perkosza ani uczestników pogrzebowej stary nie uległ zmianie. Wszyscy myśleli o tym samym, mimo, że nikt z nich nawet półgębkiem nie zdradził się z cisnącym się na usta pytaniem:

— Co z ziemią?

Czekali w dziwnym, bo ozywionym sztucznie uśmiechami nastroju, nie mogąc przelamać w sobie zakłamania maskowanego obojętnością. Nawet tam, nad świeżym grobem matki, piącąc nad śmiercią, myśleli, co ich ojciec pocznie z ziemią. Teraz spojędali sobie w oczy i zaraz ten pytający wzrok przeniosili na twarz swego ojca i teścia.

A Michał pił. I patrzył w twarz synów, córek, zięciów, uśmiechając się przy tym zagadkowo. Jaki podgrzana kaszanek i laskawym głosem wypytywał córki, co u nich na gospodarstwie. Może by co chciały z inventarza, bo właśnie on jedzie jutro do reagenta podpisać akt sprzedaży. Wtedy w izbie zrobiło się na moment cicho, a Marychna, do której skierowane były ostatnie słowa, potwórzyła z przejęciem:

— Jak to, ojciec sprzedaje ziemię?

Patrzyła na niego czerwone, rozgrzane alkoholem, zaskoczone i zdziwione twarze. A stary Perkosz podniósł do ust szklanceczkę i dopił resztę wódki. Potem otarł wasy rękawem świeczonej kapoty i wolno powiódł:

— Dziwita się? A co mam zrobić?

Wzwał w palce kawałek kiełbasy i zaczął jeść, miaskając językiem. I wtedy nastąpił wybuch radości tamtych. Jazgot słów i gorączkowe pytania:

— Komu?

— Za ile hektar?

— Jak to dobrze, że ojciec znalazł tak szybko kupca.

Słuchał tych wykrzykników i zamglonym już nieco od wódki wzrokiem wpatrywał się w czerwone, parujące ciepłem twarze swych najbliższych. Radość tych ludzi działała na niego tak deprymująco, że w pewnej chwili zaczął nawet przemysłować, co by tu zrobić, aby ich ulecha nie trwała zbyt długo. Do wściekłości do prowadził Perkosza to wyliczanie pieniędzy. Ta podniecona alkoholem kalkulacja, ile czego i za ile. Pomyślał z gorczyką, że nikt już dzisiaj nie dba o ojcowiznę, o to, co kiedyś było najświętsze. Jego dzieci cieszyły się, że sprzeda ziemię, że to, co gromadził na niej jego dziad i pradziad, zamienił w pieniądze. Chociaż?.. Podniósł rękę i warknął:

— Cisz!

I kiedy wszyscy patrzyli na niego w niemym oczekiwaniu, powiedział:

— Nie chcecie tej ziemi, która karmiła was i waszego dziada, to wam powiem! Nie sprzedam mojej ziemi! Ożenie się z Gawronską i będę gospodarzył. Ona jest młoda, ma czterdzieści cztery lata i troje dzieci...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zewsząd otaczały go twarze. Zacięte, czerwone od wódki twarze otwierają usta, piszącą i warcząc niczym sfors wygłodniałych psów. Zobaczył rozczapierzone przed oczyma palce córek i poczuł, jak zaciskają się wokół jego szyi, dranią po twarzy, rozrywają odzież. Bronił się słabo. Ktoś podciął mu nogi, a jeszcze ktoś uderzył silnie w kark. Osunął się na podłogę, a oni konali go w obłędnej furii. Krzyknął. Resztkami sił wzywał pomocy. Wtedy zerwał się Antek, odtrącił tamtych. Zrobiło się cicho.

— Pogłupiełiście czy co? Za starego wariata chcecie iść do kryminału? W taki sposób nikt nie zyska!

I wtedy usłyszał głos swego najmłodszego, tego, który był mu najbliższy.

— Zwariował dziad, rozum mu się pomieszał, więc trzeba go będzie raniem do szpitala odwieźć. Potem zrobi się sprawa i podział majątku. Ktoś jeszcze dodał:

— Trzeba go związać, bo ucieknie i krzywdę se zrobi.

Czuł, jak krepują mu ręce, a potem noż, ale był zadowolony i uśmiechał się. Cieszył się, że wreszcie podjął właściwą decyzję.

W świadomości społecznej, a zwłaszcza w opiniach pewnego odłamu naszej krytyki utrwalił się stereotyp, który wiąże Wytwórnę Filmów Oświatowych li tylko z obowiązkiem popularyzatorskiego ukazowania zdobyczy nauki i wiedzy. Tym samym powstającym w niej filmom odmawiano prawa do ambicji artystycznych a nawet do poszukiwań twórczych skazując ją na powielenie prawd o świecie i człowieku odkrytych przez innych. Czy ten stereotyp przystaje do tego, czym jest film, nazywany umownie oświatowym, dzisiaj?

Stereotypy nie nadają się zazwyczaj za biegiem życia, takie jest naturalne prawo rozwoju. Zakres penetracji naszych reżyserów rozszerzył się znacznie wraz z rozszerzeniem problematyki popularno-naukowej. Rozumie się przez nią dzisiaj już nie tylko wąskie obszary nauk technicznych i przyrodniczych, ale najszerzej pojętą wiedzę o człowieku przekształcającą świat, a to, doprawdy, dziedzinę, gdzie nie zagrażają nam stereotypy. Temu nowemu widzeniu musiało towarzyszyć poszukiwanie nowych form, przystosowanych do najpełniejszego wypowiedzenia określonego tematu. Dziś więc pojęcie „film oświatowy” należy rozumieć zupełnie inaczej niż przed laty, kiedy nasi twórcy aktywnie włączyli się w proces elementarnej edukacji społeczeństwa usiłując odpowiedzieć na zamówienia różnych, zamkniętych środowisk. Tamtemu modelowi podporządkowany był też system rozpowszechniania, również wąski. Obecnie rozpowszechnia często nasze filmy telewizja, a więc mają tym samym najszerzą, bardzo chłonną widownię.

Przyznam się zresztą, że uważam za bezsensowne wszystkie dyskusje o miejscu krótkiego metrażu w naszym życiu kulturalnym. Sprawę rozstrzygnęli sami widzowie, którzy dowiedli, że dobre filmy są przez nich poszukiwane i funkcjonują samodzielnie, jak fabuła. Pierwszym z brzegu przykładem takiego przyjęcia przez widownię jest cykl pt. „Biblia”. A tak można partner jak telewizja stwarza tu wprost nieograniczone możliwości upowszechniania naszej produkcji.

Ta nowa sytuacja krótkiego metrażu w ogóle, a filmów oświatowych w szczególności rzutuje chyba na wasz profil. A może, stojąc od tych spraw nieco na uboczu, myśleć się wyciągając takie wnioski?

Mamy świadomość, że realizujemy filmy dla masowego odbiorcy, dla wielomilionowej widowni i że zasięg naszego oddziaływania jest znacznie szerszy niż przed laty. Następnym tego jest przyjmowany przez nas z satysfakcją fakt, że w naszej wytwórni powstaje dziś znacznie mniej filmów adresowanych do wąskiego kręgu specjalistów, na pewno potrzebnych, ale nie mogących liczyć na poważniejszy rezonans społeczny. Coraz częściej powstają za to obrazy zaangażowane, tendencyjne, atakujące istotne problemy współczesności, mocno związane z realiami życia społecznego. Przykładem tych poszukiwań mogą być dwa realizowane aktualnie cykle filmowe. Jeden z nich dotyczy problematyki rolnictwa i polskiej wsi. To zagadnienie mające swoją wagę i nie ma potrzeby uzasadniać, dlaczego filmy z tej dziedziny znalazły się w naszych planach. Drugi cykl poświęciliśmy najszerzej pojętej problematyce rodziny. Ukazując przeobrażenia, jakie zachodzą w tej podstawowej komórce społecznej, analizując zjawiska negatywne takie jak kryzys rodziny czy rozwój chemy nie tylko popularyzować wiedzę psychologiczną czy socjologiczną, ale kształtować najwłaściwsze postawy, które pozwolą przezwyciężyć niepowodzenia w życiu osobistym.

Taka wiwiesekeja zjawisk współczesnego życia była dotąd domeną filmu dokumentalnego czy reportażu telewizyjnego. Czy nie jest to wchodzenie na cudzy teren?

Reportaż traktuje te zjawiska nazbyt jednostkowo, brak mu zaplecza z dziedziny nauk społecznych. Nie jest to zarzut, bo to dostatecznie nośny gatunek, tylko konstatacja. Zresztą dobowanie tematów nam nie grozi. Mamy świadomość, że nawet gdyby istniała koordynacja w dziedzinie produkcji filmów popularnonaukowych realizowanych obecnie przez kilkanaście różnego typu instytucji filmowych w kraju, to i tak niewiele by się zmieniło. Nikt nie jest w stanie realizować filmów wy-czerpujących całość jakiegoś tematu, zawsze wchodzi w grę tylko określony aspekt, jakiegoś szczególne



MÓWIĆ ŻARLIWIE I Z PASJĄ

Z dyrektorem Wytworni Filmów Oświatowych **ZBIGNIEWEM GODLEWSKIM** rozmawia Konrad Frejdlch

Widzenie. I ono rozstrzyga o tym, czy zakwalifikujemy film jako dokumentalny czy oświatowy, niezależnie od tego w jakiej wytwórni powstał. Nawet podejmując próbę realizacji filmów pretendujących do wyczerpania pewnych zakresów tematycznych mamy świadomość, że nie powiemy wszystkiego. Mam tu na myśli cykl siedemnastu godzinnych filmów telewizyjnych poświęconych sylwetkom literatury polskiej. Dodajmy od razu: wybranym sylwetkom, a sztuka selekcji jest naprawdę trudna. Wspomniany cykl będzie przedsięwzięciem realizowanym przez kilka lat i przyniesie w rezultacie swoisty leksykon najciekawszych zjawisk literatury ojczyznej poczynając od Reja aż niemal po dni ostatnie. Leksykon napisany kamerą, a tego jeszcze nie było. Podjęliśmy dotąd podobne próby w znacznie mniejszej skali starając się przedstawić osiągnięcia polskiej sztuki plastycznej oraz naszej architektury.

— A co z waszym tradycyjnym odbiorcą? Mam na myśli szkolnictwo, które zbyt nieśmiało wykorzystuje film w procesie dydaktycznym. Czy to sprawa pewnych przesądów, które każą wiązać nauczanie wyłącznie z widzą podręcznikową, a więc z książką, czy też sprawa luk w filmotece?

— Filmy szkolne stanowią wciąż najważniejszy, choć może najmniej efektywny dział naszej produkcji. Współpraca ze szkolnictwem rozwija się ku obopólnemu zadowoleniu. Dość powiedzieć, że filmy szkolne stanowią trzecią część wszystkich powstających u nas pozycji. Ich droga do uczniów i nauczycieli jest wciąż jeszcze zbyt długa, ale decydują o tym chyba nie przesady, tylko wyposażenie techniczne szkół. O krede i tablicę jest przecież łatwiej niż o dobrą, drogą zazwyczaj aparaturę projekcyjną. Ale udział filmów w procesie nauczania jest coraz większy. Te, które realizujemy aktualnie, są dzięki ścisłej współpracy z Instytutem Programów Szkolnych skorelowane z programem nowej „dziesięcioletki”. Postęp wiedzy jest tak wielki, że istnieje ciągła potrzeba aktualizacji zrealizowanych już tematów, a zarazem w ogóle zwiększenia produkcji filmów szkolnych, które powinny stać się nieodłącznym elementem nauczania. Robi się wiele w tym kierunku, czego dowodem festiwal filmów dydaktycznych, które mają być zachętą dla twórców do podejmowania tej wciąż niedostatecznie docenianej problematyki. Miło mi zauważyć, że na tych festiwalach nasze pozycje są często nagradzane, zarówno w konkursach, jak i w plebiscytach nauczycieli, co dowodzi, że nasza produkcja odpowiada na zapotrzebowanie szkolnictwa. Ale droga do trwałej obecności tej produkcji w programach szkolnych jest jeszcze mimo wszystko dość odległa, choć wiele zmieniło się na korzyść.

— Słuchając tego uprzytomniłem sobie pewien paradoks. Przecież mamy luki nie tylko w szkolnej filmotece. Jeszcze większe zaniedbania notujemy w dziedzinie filmu artystycznego dla młodej widowni. Przedszkolaki mają przynajmniej liczne obrazy animowane. Co jednak z ich nieco starszymi kolegami, których skazuje się na rozmaite składanki wyświetlane na tzw. porankach filmowych?

— W Polsce, w przeciwieństwie do innych krajów socjalistycznych, nie ma wytwórni, która robiłaby filmy dziecięce. O ile tęsknoty najmłodszych zaspokaja w pewnym stopniu animacja, o tyle nieco starsi widzący są w znacznie gorszej sytuacji. Filmów dla nich jest zdecydowanie za mało. To sprawa bardzo trudna, bo brak zarówno scenariuszy jak też zainteresowanych tematyką dziecięcą twórców, których krytyka filmowa pomija najczęściej wżgardliwym milczeniem. Ta sytuacja zniechęca realizatorów nie znajdujących także dostatecznej zachęty materialnej. Jesteśmy jednak w tej szczęśliwej sytuacji, że z naszą Wytwornią związana jest grupa wypróbowanych realizatorów, którzy pasjonują się tematyką dziecięcą. Dość wymienić Wojciecha Fiwka czy Leokadię Migielką. Dzięki ich pasji i naszej współpracy z telewizją powstało w ciągu ostatnich kilku lat szereg seriali wyświetlanych z powodzeniem na szklanym ekranie, ale widownia dziecięca jest tak chłonna, że stanowią one mimo wszystko przysłowiową kropkę w morzu. Mówię o tym dlatego, że to problem bardzo nabrzmiały i wymagający zdecydowanego rozwiązania w skali ogólnopolskiej. Mimo trudności staramy się reagować, nie tylko w tej dziedzinie, na aktualne problemy życia. Ale to sprawa szczególnie delikatna, wymaga przecież nie tylko konsekwentnych działań programowych, ale i współdziałania twórców.

— Skoro już mowa o twórcach warto chyba wspomnieć, że Wytwórnia Filmów Oświatowych ma opinię placówki, która ułatwia start debiutanom. Czy jest to rezultat świadomej polityki czy zwykły przypadek?

— Często docierają do nas głosy, że Wytwórnia jest doskonałym miejscem dla młodych. Tak jest chyba istotnie i nieprzypadkowo. To po prostu rezultat dobrej współpracy ze szkołą filmową, gdzie zresztą szereg naszych pracowników ma zajęcia ze studentami. Niezbyt prawdziwą jest opinia, że Wytwórnia jest miejscem, gdzie można realizować wszystkie własne pomysły, choć i takie głosy do nas docierają. Przyjeliśmy zasadę, że najpierw należy się sprawdzić w realizacji filmów, które znajdują się w planie tematycznym wytwórni i posiadają pełne materiały literackie. Ale po uzyskaniu własnego doświadczenia, młody twórca na pewno znajdzie u nas wdzięczne pole do rozwijania własnych ambicji i pomysłów, o ile oczywiście nie rozmiągają się one z profilem tematycznym i planami produkcyjnymi wytwórni. Dotychczasowe nasze doświadczenia uczą, że to właściwa droga. Umożliwiłyśmy w ten sposób wiele wartościowych debiutów nie krepując w niczym osobistych pasji realizatorów. Film jest dziedziną, która się nieustannie rozwija, stąd także margines na własne, choćby ryzykowne poszukiwania, stąd nie kwestionowane przez nas prawo twórcy do eksperymentu. Poczynania te przynoszą w większości wypadków dobre rezultaty.

— W odróżnieniu od Wytworni Filmów Fabularnych jesteście nie tylko producentem filmów, ale także placówką, która rozstrzyga o ich kształcie tematycznym i artystycznym, a więc ośrodkiem decyzji programowych. Jakże z tego faktu wy-

plywają konsekwencje dla Łodzi?

— Wytwórnia od początku swego istnienia związana jest z naszym miastem. Są to związki nie tylko sentymentalne, czego najlepszym dowodem szereg filmów o Łodzi, która jako wielki ośrodek nowoczesnego przemysłu stanowi sama w sobie wdzięczne pole penetracji dla twórców wrażliwych na rytm współczesnego życia. Nawet mówiąc o problemach ogólniejszych odwołujemy się często do lokalnej egzemplifikacji, zamiast szukać przykładów gdzieś daleko. Niezależnie od tych działań realizujemy systematycznie kwartalnik filmowy, który obok swych funkcji informacyjnych posiada ogromną wartość dokumentacyjną i jest filmową rejestracją przemian zachodzących w naszym mieście.

— Niektórzy uważają to za waszą słabość i przejaw partykularyzmu czy też lokalny patriotyzm...

— Lokalny patriotyzm to zjawisko za mało doceniane. Trzeba mocno tkwić korzeniami w gruncie, z którego się wyrosło, aby przemawiać prawdziwie uniwersalnie, inaczej będzie to pastosłowie. A my potrafimy chyba z dużą odwagą się do wrażliwości widzów na całym świecie i w naszym nam nasz lokalny patriotyzm nie zaskodził. Jakimś potwierdzeniem tego mogą być liczne laury na festiwalach. W ciągu trzydziestu lat filmy nasze uzyskały 250 nagród zagranicznych i 400 krajowych. Tylko w roku bieżącym zdobyliśmy 12 nagród na festiwalach zagranicznych oraz 17 na krajowych. Zresztą staramy się prowadzić możliwie szeroką współpracę z kinematografią światową. Bardzo żywe kontakty utrzymujemy z podobnymi do nas wytwórniami w krajach demokracji ludowej. Ich rezultatem są filmy zrealizowane przy współdziałaniu „Lenfilmu”, „Puszkina i Mickiewicza”, „Kuranty dwu miast” czy też ukończony ostatnio w związku z setną rocznicą urodzin Felksa Dzierżyńskiego film o tym wybitnym rewolucjonście. Jest to próba o tyle interesująca, że nie pretendując do pełni biograficzności ujęcia ukazuje jednocześnie mniej znane strony życia Dzierżyńskiego: opiekę nad „bezprizornymi”, jego działalność gospodarczą. Reżyser Szczygiel wykorzystał w tym obrazie materiały kronik filmowych sprzed sześćdziesięciu lat. Wśród odnalezionych przez niego materiałów jest wiele takich, które dotyczą początków niepodległości państwa polskiego i posłużą do realizacji filmu o wpływie rewolucji październikowej na powstanie II Rzeczypospolitej.

Z „Lenfilmem” realizujemy kolejny film, tym razem o współpracy państw leżących nad Bałtykiem, w celu ochrony jego biologicznych zasobów. Podobny temat podjęliśmy przy współpracy z wytwornią w Sofii. Dotyczy on najogólniej biorąc problemu ochrony środowiska, a właściwie naprawy tego, co człowiek zniszczył w przyrodzie swoim nieprzemysłowym działaniem. Tytuł filmu dobrze chyba oddaje istotę rzeczy: „W obronie człowieka”.

Z innych naszych kontaktów międzynarodowych warto odnotować fakt, że przy współpracy z Narodowym Centrum Kultury w Paryżu będziemy realizować film o znakomitym polskim rzeźbiarzu, który działał we Francji, Ferdynandzie Zamoyskim.

TATIANA TOŁSTOJ-SUCHOTIN

BŁYSKI PAMIĘCI

(ANEGDOTY RODZINNE O TOŁSTOJU)

Nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Chudożestwiennaja Literatura” ukazało się nowe wydanie wspomnień Tatiany Suchotin-Tołstoj, córki wielkiego pisarza i myśliciele z Jasnej Polany. Wydanie to powiększono o szereg prac i fragmentów, które po raz pierwszy ukazują się w druku. Prawdziwą sensację stanowi włączenie do wspomnień zbioru anegdot rodzinnych o Lwie Tołstoj. Zbiór ten zatytułowany „Błyski pamięci” (Ziarnicy pamięci) napisany po francusku, przechowywany był dotychczas w Rzymie, w archiwum rodzinnym Suchotinów. Obecnie Główne Muzeum Tołstoja otrzymało kserokopię tego nieznanego dotąd rękopisu, który stanowi prawdziwą sensację literacką nie tylko w ZSRR.

Z „Błysków pamięci” wybraliśmy kilka opowiadań, które prezentujemy naszym Czytelnikom. Przekładu na język polski — z rosyjskiego przekładu I. B. Owczinnikowej — dokonał:

Czytacz żurnyru
HENRYK RUDNICKI

PAOLO TRUBECKI

Pewnego wieczoru powiadomiono mnie, że przybyły właśnie moje przyjaciółki — panny Trubeckie wraz z ich kuzynem — rzeźbiarzem Paolo Trubeckim, o którym słyszałam wiele. Był to wielki oryginał, który dzieciństwo i młodość spędził w Mediolanie. Mieszkając we Włoszech Trubecki nigdy nie zwiedził muzeów. Był ścisłym wegetarianinem. Jego matka — Amerykanka — pochodziła z południowych stanów USA. Paolo nie znał rosyjskiego. Twierdził, że Trubecki to wielki talent, a jego nazwisko jest szeroko znane w świecie.

Oczekiwałam go z niecierpliwością, jako że wszystko co ma związek ze sztuką zawsze mnie bardzo interesowało.

Urząłam wysokiego, nieśmiałego i milczkowego chłopaka, z oczami, które dostojnie wpijały się we wszystko, co znalazło się w polu ich widzenia.

Pierwsza rozmowa Paola z moim ojcem była zabawna.

— Nie czytałem żadnej pańskiej książki — powiedział Trubecki.

— I dobrze pan uczynił! — powiedział ojciec.

— Ale przeczytałem pański artykuł o szkodliwości palenia tytoniu. I chciałem rzucić palenie.

— Z jakim skutkiem?

— Ano — przeczytałem i palę dalej!

Obaj się roześmieli.

Od pierwszej chwili Trubecki był zachwycony ojcem i pilnie studiował jego ruchy. Artysta namiętnie badał swój model szukając w nim tego, co będzie potrzebne do rzeźby.

Ojciec był skromnym człowiekiem. Czując na sobie badawczy wzrok gościa — czuł się coraz bardziej nieśmiały.

— Rozumiem teraz — szepnął mi na ucho — co wy, kobiety, odczuwacie, kiedy ktoś się w was zakocha. Jakież to krępujące!

Aby uwolnić się od natarczywych spojrzeń gościa — ojciec postanowił nagle — udać się do łaźni i głośno powiadomił o tej decyzji zebranych. I oto ujrzałam, jak się Trubecki uśmiechnął.

— I ja pójdę z panem do łaźni, Lwie Nikołajewicz! Oczywiście, jeżeli pan na to pozwoli!

Urząd swój model bez szat — to dla rzeźbiarza gratka — niełada. Paolo aż pokręcał się z radości.

Ojciec przeraził się:

— Nie — powiedział — do łaźni pójdę innym razem. Dzisiaj dzień jest zbyt zimny!

Jak wiadomo Paolo Trubecki wykonał kilka popiersi i statuetek Lwa Tołstoja. Być może, że to najlepsze jego prace.

KTO SIĘ BOI ŚMIERCI

Pewnego razu w Jasnej Polanie, w czasie obiadu, zebrali się za stołem przedstawiciele licznej naszej rodziny, rodzina ciotki Tani, jak również kilku przyjaciół i gości. Wśród obecnych był także nasz wielki Turgieniew.

Zgadło się na temat śmierci i nieuniknionego końca życia.

— Kto się boi śmierci — niech podnieśli rękę — powiedział Turgieniew podnosząc swoją dłoń. Popatrzył wokół siebie. Tylko jego duża, piękna ręka była podniesiona do góry. Za stołem siedzieli moi bracia, siostra, kuzyni i kuzynki, cała kompania dzieciąt i chłopców w wieku poniżej dwudziestu lat. Czy w takim wieku można bać się śmierci?

Wtedy i mój ojciec podniósł rękę.

— Ja także — powiedział — lękam się śmierci!

Wtedy ojciec odezwał się dzwicznym głosem ciotki Tani:

— Ależ wybrałi wesoly temat do rozmowy — krzyknęła. — Czy nie można znaleźć coś mniej ponurego?

— Ależ, Taniu — powiedział ojciec — Przecież i ty umrzesz!

— Ja umrę! To jeszcze jeden z twoich żarcików! — palnęła cioteczka.

Obecni wybuchnęli śmiechem. Zmieniono temat rozmowy.

U OBLĄKANYCH

Ojca interesowali chorzy umysłowo. Przy każdej okazji przyglądał się szaleńcom. Mówił, że obłąd jest to egoizm doprowadzony do ostatecznych granic.

Ogród naszego moskiewskiego domu graniczył z dużym parkiem kliniki psychiatrycznej. Tylko plot z desek oddzielał nas od umysłowo chorych, których obserwowaliśmy w czasie ich codziennych spacerów przez szczyliny w deskach ogrodzenia. Z niektórymi nawet zawaraliśmy znajomość. Podawali nam przez plot kwiaty a kiedy dozorcy nie przeszkadzali — rozmawialiśmy z nimi. Jeden z tych nieszczęśliwów stracił rozum po śmierci jedyne synka, chłopca w wieku rąjowego bractwa Wani. Czekał na jego przyjeździe i podawał mu wiązanki najpiękniejszych kwiatów zerwanych w szpitalnym ogrodzie.

Wania miał wiele serca do otaczającego go świata. Pod wpływem jego tkliwości i delikatności w duszy chorego znów zbudziła się chęć do życia. Wyszedłszy z kliniki napisał do mojej matki wruszający list. Wania był dla niego dowodem, że na świecie jest jeszcze wiele miłości i czaru i on jest teraz wdzięczny mojej matce, że wydała na świat tak uroczą istotę.

Pewnego dnia jednemu z chorych udało się zbiec z kliniki i ukryć się w naszym ogrodzie. Dozorcy przybiegli do nas, a otrzymawszy zezwolenie na przeszukanie ogrodu, zaczęli myśleć o wszystkich zakątkach. W końcu znaleźli zbiega ukrytego za drzewem.

Ojciec znał psychiatrę, profesora Korsakowa. Był to znany uczyony, specjalista chorób nerwowych i psychicznych. Ojciec z przyjemnością rozmawiał z nim na te tematy.

Pewnego wieczoru Korsakow zaprosił nas na przedstawienie, gdzie widzami i aktorami byli sami chorzy. Spektakl odniósł pełny sukces. Odegrano kilka skeczów. Nikt by się nawet nie domyślił, że artyści są chorzy umysłowo ludźmi, czego nie można było powiedzieć o widzach. Pamiętam jak pewna młoda dziewczyna, siedząca w pobliżu, nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Jej twarz stawała się purpurowa od napięcia i dostawała ataku wesołości. W całej sali słychać było ten beznamiętny straszliwy śmiech, przypominający bolesny szloch. Inni chorzy — widzowie pomrukiwali coś przez zęby. Niektórzy — siedzący między dozorcami i sanitariuszami — w ogóle nie patrzyli na scenę zerkając bezustannie to w prawo to w lewo.

W czasie antraktu kilka osób podszło do ojca i nawiązało z nim rozmowę. Nagle ujrzałam bieżącego ku nam chorego o czarnej brodzie. Był to jeden z pacjentów — naszych znajomych.

— Ach, Lwie Nikołajewicz! — wykrzyknął chory wesoło. — Jakże się cieszę, że was tutaj oglądam! Więc i pan do nas trafił? Od jak dawna jest pan w klinice?

Słyszawszy, że ojciec nie jest pacjentem a tylko gościem, był bardzo rozczarowany.

JEGO SŁÓWKA

Gdy ojciec ukończył osiemdziesiąt lat i pytano go: jak się panu czuje? — odpowiadał, jeśli czuł się słabo i apatycznie:

— Czuję się tak, jakbym miał osiemdziesiąt lat!

O egocentrycznym, zakochanym w sobie człowieku — mówił:

— On ma wielką zaletę — nie posiada rywala!

W pierwszym roku po ślubie odwiedził ojca w Jasnej Polanie literat hrabia Solohub, który zauważył, że ojciec jest w pełni zadowolony ze swego losu.

— Jest pan szczęśliwym człowiekiem — powiedział Solohub — posiada pan wszystko co pan kocha!

— O nie — odparł ojciec. Nie mam tego wszystkiego co kocham, ale kocham wszystko co mam!

TOMASZ SOLDENHOFF

targi nie na pokaz



Dalszy ciąg ze str. 1

Jak w praktyce realizowano nowe założenia?

Czuwaniem nad realizacją oferty towarowej zajęły się komisje weryfikacyjne. Ich zalecenia dotyczyły nie tylko lepszego oznakowania eksponatów czy pełniejszej informacji na temat cen i wielkości ofert oraz terminów dostaw, lecz również tzw. ofert pozornych, tj. takich ofert, których wielkość wyrażając się nawet w dziesiątkach tysięcy sztuk, była wobec realnego zapotrzebowania zbyt niska.

W skrajnych wypadkach komisje dyskwalifikowały wyrób i usuwały go z wystawy. Zastępowano go przez produkty funkcjonalne (np. jeden z zestawów mebli), o nieciekawym wzornictwie (pojedyncze eksponaty branży chemicznej i odzieżowej) lub o złym wykończeniu (torebki damskie, odzież, obuwie). Dyskwalifikację powodowały również: niecelowe zastosowanie surowca (np. drogiego, importowanego do taniej, drobnej galanterii) i niskie walory estetyczne (pamiątki). Ogółem usunięto z Targów 128 asortymentów, zaś 92 dopuszczono do kontraktacji z zastrzeżeniem.

W Konkursie „Dobre — Ładne — Poszukiwane” nagrody przypadły tylko tym wyrobom, które producenti gwarantowali w ilości odczuwalnej w zapotrzebowaniu rynku wewnętrznego.

Ogólną aprobata wywołał pomysł „nagradzania”... złotymi kartkami producentów, których oferta, mimo iż chodziło o artykuły przemysłowe o charakterze masowym, nie pokrywała potrzeb rynku. „Złote kartki” miały przypomnieć producentom podstawową przyczynę w naszym kraju zasadę, że produkcja jest działalnością służebną wobec społeczeństwa.

Nie liczą się zatem wysokie wskaźniki przyrostu produkcji osiągane rozmaitymi „sposobami” (np. przez wytworzenie tego, co daje największy zysk lub tego, co jest po prostu najłatwiejsze), lecz rzeczywisty stopień zaspokojenia oczekiwań konsumentów. Natomiast tam, gdzie oferta przemysłu ilościowo przekraczała zamówienia handlu wręczano „niebieskie kartki”. Miały one z kolei dopinguować handel. Takie kartki znalazłem na przykład przy odbiorniku radiowym „Asia”, samochodowym radiodiodem „Tramp” i przy magnetofonie M-5315. Jednakże pojawiły się one zazwyczaj przy nowościach. A gdyby handel wiedział o nich wcześniej, zapotrzebowanie byłoby prawdopodobnie i na te artykuły o wiele większe niż wynosiła oferta... Tych „niebieskich kartek” było niestety dużo mniej niż złotych.

W KOLEJCE DO PRODUCENTA

Na temat spodziewanych w 1978 roku niedoborów w zapotrzebowaniu oraz tych asortymentów, których będzie pod dostatkiem, szeroko poinformowali dziennikarze podczas konferencji prasowej Min. Handlu Wewnętrznego i Usług Adam Kowalik oraz reprezentanci trzech wielkich central handlowych: CPHW, CZSR „Samopomoc Chłopska” i CZSS „Spolem”.

Generalnie rzecz biorąc przemysł pokrył w połowie zapotrzebowania handlu. Nie jest to żadna tajemnica, lecz prostym wnioskiem już nawet tylko z obserwacji metryk znajdujących się na każdym towarze. Toteż dla handlowców był to rzeczywiście tydzień trudnej i nerwowej pracy. Nie obyło się i bez rywalizacji i bez... kolejek do niektórych producentów.

Tam gdzie dostawy nie były limitowane centralnie, do pracy handlowców wkradała się zasada „kto pierwszy, ten lepszy”. O atrakcyjności ofert, ale i o potrzebach rynku

nowości komplet kuchenny „Jaga” (w ilości 3.100 kompletów) i zestaw wypoczynkowy „Cezary”, który w produkcji znajdzie się w drugim półroczu przyszłego roku. — Nasze meble cieszą się tu dużym zainteresowaniem, dużo większym, niestety, niż możliwości produkcyjne — powiedziała mi kierownik Działu Zbytu Łódzkiej Fabryki Mebli Irena Niemczykowa. — Traktując Targi nie jako wystawę, lecz jako targi własne, przedstawiamy tylko to, co może być przedmiotem umów. W tej chwili, w czwartym dniu trwania imprezy, przeprowadzamy już tylko korekty zamówień i wysokości dostaw.

W boksie Łódzkiej Fabryki Mebli, asystując tym korektom, lyknałem trochę targowej, gorącej atmosfery... — Niech pani nas ratuje! — do przedstawicielki LFM zwraca się podenerwowana kierowniczka sklepu meblowego z Gdyni. — Musimy mieć 200 albo choć 100 kanap z białym obiciem. Nie możemy bez nich wrócić! Chociaż ze „stówę”... Meble tapicerowane z LFM były tym razem na Targach w wolnej sprzedaży. Kanap zaoferowano 43 tys. Zamówień było... ponad 60 tys. Toteż dawno są już rozdzielone. — Nie mógłby pan odstąpić gdańskiemu WPHW z 200 kanap? — pyta kontrahenta ze stolicy kier. I. Niemczykowa.

Ale i ten „najsympatyczniejszy” ponoc spośród handlowców bezradnie rozkłada ręce. Ratunek dla Gdyni przyjdzie aż z... Rzeszowa. Zgłaszają się również klienci prywatni pytając kiedy i gdzie będzie można na Targach kupić meble. — Jest więc z producentem... — podkreśla ktoś z duma.

Natomiast w pawilonie obuwniczym zastaliśmy ekspozycje aż dwóch łódzkich producentów. Propozycje Zakładów Przemysłu Skórzanego SKOGAR przedstawił mi zastępca dyrektora d/s handlowych J. Długolecki: — W pierwszym półroczu 1978 roku oferujemy na rynek 660 tys. par butów, w tym 180 tys. par obuwia skózanego, ogółem w 60 wzorach. Na Targach nie odrzucono nam żadnego wzoru, a 8 modeli wytypowano do nagród w konkursie „Dobre — Ładne — Poszukiwane”. Obuwie ze znakiem „Contessa” ma więc dobrą markę.

A czego możemy się z SKOGARU spodziewać w łódzkich sklepach? Chocby opasek tzn. damskich czółenek, które w ilości 7 tys. znajdują się w SDH „CENTRAL”. Ale także: butów na wysokim obcasie z paseczkami z polcorfam, obuwia tekstylnego, a z nowego zakładu na Teofilowie już obecnie pochodzi ponad 2 tys. sztuk odzieży skórzanej miesięcznie. Z chwilą pełnego rozruchu nowego zakładu ruszy własna produkcja spodów poliuretanowych i autopsoków, co znacznie przyspieszy, ułatwi i rozwinie produkcję bardziej skomplikowanych wzorów.

W przeciwieństwie do modnego wzornictwa SKOGARU oferta drugiego łódzkiego wystawcy — Zrzeszenia Producentów Obuwia na pierwszy rzut oka wydała mi się dość tradycyjna, choć profil jej był szeroki: od męskich, solidnych dziurkowanych butów przez damskie czółenka i galanterki aż po mokasyny i pantofle. — Żaden wstyd dla nas, że przez tę „tradycyjność” i „skromność” odrzucono nam trzy wzory — kierownik Zrzeszenia Michał Kofyński zwrócił moją uwagę na inne walory kolekcji. — To nie tradycja, lecz konieczność. Robimy buty dla stóp wrażliwych i nie lubiących zmian. Wykorzystujemy lekkie spody. Cała nasza oferta z 5 wchodzących w skład Zrzeszenia zakładów, łącznie 50 wzorów, została sprzedana. A

można byłoby sprzedać dwa razy tyle, gdybyśmy dysponowali większymi mocami produkcyjnymi...

W hall z 1001 drobiazgów niespodzianka, Łódzkie Zakłady Chemiczne URANIUM prezentują się aż na dwóch stoiskach!

Na wyłączonym stoisku eksponuje się bowiem 20 asortymentów zakwalifikowanych do medalii i wyróżnień w Konkursie „Dobre — Ładne — Poszukiwane”. Pokazuje mi je z dumą kierownik Działu Zbytu tej spółdzielni Józef Czapski. Do złotego medalu wytypowano plastikowe zestawy łazienkowe „Cesia” i „Asia”, półkę łazienkową, owalną miskę i deske sedesową. Na wszystkich 20 wyrobach widnieje tabliczka „Sprzedane”. — Ale zapotrzebowanie rynku mogliśmy pokryć tylko w połowie — mówi kier. J. Czapski. — Choć wartość naszej oferty wyniosła już o 135 mln. zł więcej niż w 1971 roku. Większa część naszej produkcji idzie na łódzki rynek.

Niemniej wyroby URANIUM znane są w całym kraju. Stały się one wizytówką Krajowego Związku Spółdzielni Pracy Tworzyw Sztucznych i Gumy w... Krakowie (tak, tak). Szkoła tylko, że krakowska „centrala”, reklamując swoje osiągnięcia (choćby na fotografiach w „Gazecie Targowej”) zapomina o takim szczegółem, jakim jest podanie nazwy łódzkiego jak by nie było producenta... Niby drobiazg, ale...

Jednak najszerzej, zgodnie z oczekiwaniami, zaprezentował się łódzki przemysł w branży odzieżowej.

Na wydzielonym stoisku w hall ZPO znalazło się miejsce dla pochodzących z Łodzi wyrobów — medalistów międzynarodowych targów: kompletu damskiego typu „Safari” (złoty medal na Targach w Lipsku i I nagroda w konkursie branżowym za osiągnięcia wzornicze) i prochowca damskiego, nagrodzonego złotym medalem na targach w Brnie (oba wyroby z EMFORU), a także wyprodukowanego przez PRÓCHNIKA płaszcz męskiego (zdobywcy „Złotej wstęgi” w Brnie). W wyliczonej kolekcji STUDIA-8 Łódź reprezentowała sukienka „Słowian” z TELIMENY.

Wśród koszul męskich i damskich bluzek na stoisku WÓLCZANKI z przyjemnością wyszukałem kilka wzorów także zakwalifikowanych wstępnie do wyróżnień czy medali w Konkursie Jakości i Estetyki Towarów.

Ze świetnie wyeksponowaną i w całości nową ofertą wystąpiły w osobnym pawilonie Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne TEOFIŁOW. Jej wielkość: 520 tys. sztuk! Zapotrzebowanie: 600 tys. — Na prośbę handlowców, którym kolekcje pochodzące z trzech zakładów konfekcyjnych TEOFIŁOWA, w Ozorkowie, Krotoszynie i Łodzi, bardzo się spodobały, powiększyliśmy pulę kontraktacyjną — poinformowała mnie kierownik Działu Marketingu Mirosława Patorezyk, która oprowadziła mnie po ekspozycji. — Staraliśmy się o różnorodność propozycji. Zakład z Ozorkowa zaoferował na przykład śmiałą wzorniczo kolekcję damską. Wprowadziliśmy nowe rozwiązania technologiczne. Nasze dzianiny przez zastosowanie druku transferowego z powodzeniem imitują bawełnę i nie przypominają poliestru. Prezentujemy trzy wzory kompletów, które mogą być noszone zarówno w całości, jak i w częściach (np. sama kamizelka). To niektóre przykłady.

W pawilonie TEOFIŁOWA zainteresowało mnie jednak co z tej bogatej i różnorodnej oferty znajdzie się na łódzkim rynku? Czy Łódź ma w dostawach priorytet?

Na te pytania odpowiedział mi z/cz dyrektora Zakładów Konfekcyj-

nych w Ozorkowie Stanisław Paskowski:

— W Łodzi nowości dostarczamy „na telefon” w pierwszej kolejności do „Centralu”, „Uniwersalu” i sklepu patronackiego przy ul. Zachodniej. Natomiast przyznany nam sklep firmowy (po dawnym sklepie „Polmozbytu” przy ul. Piotrkowskiej) jest jeszcze w remoncie. Z „Centralem” mamy umowę patronacką i osobne stoisko. Bierzymy udział w rocznicowych imprezach handlowych „Uniwersalu”. Nasze sukienki z tkaniny teksamopodobnej i komplety młodzieżowe są w modzie. Widać je latem na łódzkich ulicach... Skierowaliśmy do Łodzi dodatkowo 30 tys. tych wyrobów. A jeżeli łódzkie domy handlowe przyjmą naszą propozycję, jeszcze w tym roku dostarczymy tam partie sondażowe wyrobów we wzorach prezentowanych w Poznaniu.

Nie wszyscy może pamiętają dyskusję jakie towarzyszyły budowie nowego zakładu TEOFIŁOWA w Łodzi. Pytano wtedy: po co tak wielki zakład produkujący jedynie kremplinę? Moda na bistor minęła, a ZTK TEOFIŁOW udowodniła, że potrafi operatywnie i elastycznie reagować na potrzeby rynku. W rozpoznawaniu popytu dużą rolę gra Dział Marketingu, wciąż poszukujący coraz lepszych metod.

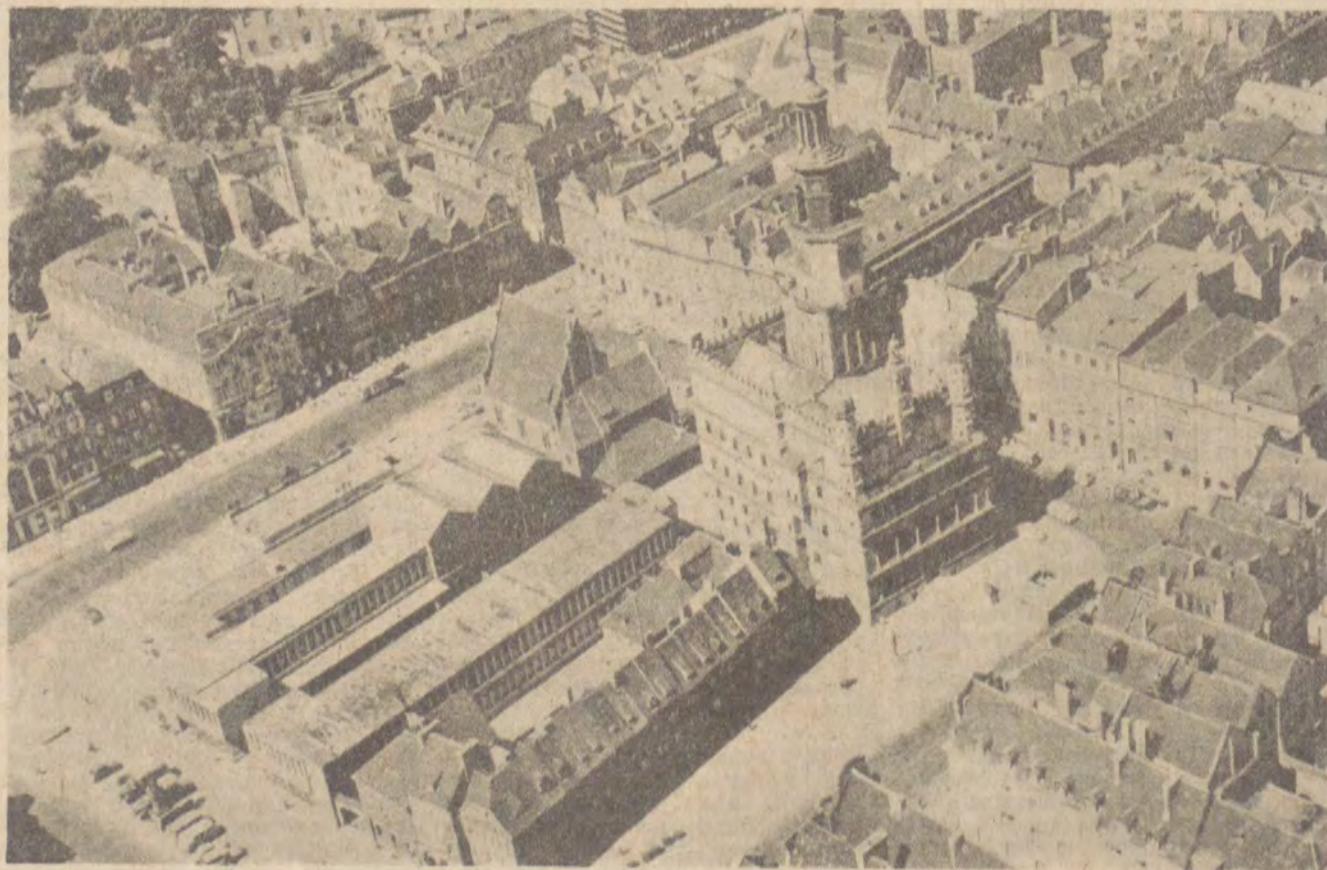
Ostatnim łódzkim producentem, którego wyroby szczególnie zwracają uwagę na tegorocznych Targach „Jesień 77” było Przedsiębiorstwo Produkcji Galanterijno-Odzieżowej PRGAL.

Jego siedziba znajduje się co prawda w Łodzi, ale zakłady rozrzucono po całej pin-zach. i środkowej części kraju, w 12 województwach. Na Targach PRGAL miał własny pawilon. W jego ofercie kilkanaście asortymentów zainteresowało ekspertów. Do nagród i wyróżnień kandydowały m. in. sukienki dziewczęce, bluzki szkolne, ogrodniczki dziecięce, kurteczki chłopięce i in.

Na uwagę mamy przede wszystkim potrzeby społeczne, duże lecz wciąż nie zaspokojone — zaznaczył dyrektor PRGALU Józef Kasper. — Bo odzież dla dzieci i niemowląt to jak wiadomo od wielu lat „pięta Achillesowa” przemysłu. — Jeszcze przed Targami próbowano rezerwować sobie nasze wyroby. A pierwszego dnia przed naszym boksem ustawiła się kolejka. Żeby ją zlikwidować, musieliśmy ponumerować zamówienia handlowców. Ale już nie dla wszystkich starczyło wszystkiego — dodaje z/cz dyr. d/s handlowych B. Piwnicki: — Pracujemy systemem nakładczym, archaicznymi metodami, bez dotacji na maszyny — dorzuca jeszcze dyr. J. Kasper. — A żąda się od nas coraz więcej, jakby zapominając i o naszych, coraz większych wobec rosnącego popytu potrzebach...

Problem konfekcji dziecięcej i niemowlęcej to typowa „beczka bez dna” toteż powrócimy do niego jeszcze w tym roku na łamach „Odgłosów”, składając dłuższą wizytę łódzkiemu producentowi tej odzieży. Zwłaszcza, że choć jego produkcja, jak skromnie zapewniali dyrektorzy, na rynku ma funkcję jedynie „uzupełniająca”, wymowa faktów jest inna.

Wystarczy powiedzieć, że na stoisku PRGALU w łódzkim SDH „Central” obroty są 10-krotnie większe niż na innych stoiskach. Dowodem rangi problemu i zakładów mogą być również wizyty ekip komisji sejmowych w pawilonie PRGALU, zgodny aplauz wszystkich komisji kwalifikacyjnych i stu procentowy popyt na wyroby z jego kolekcji, od pierwszego do ostatniego.



Fot. Archiwum

ŁÓDŹ NA TARGACH

Łodzianom odwiedzającym tegoroczne Targi dużą satysfakcję sprawiała widoczna w każdej niemal hall obecność łódzkiego przemysłu.

Łódzkie Zakłady Mebli zaprezentowały zabudowy segmentowe — typu „Łódź” w dwóch wariantach, stanowiące aż 80 procent całej produkcji LFM, leżanki typu „Jola”, a spośród

RYSZARD BINKOWSKI

tata bońska i synowie

Władysław Bońska wrócił zmoczony z Pabianic i klinie na czym świat stoi. W błocie można się na tej cholernej drodze do Julianowa utopić, a gumowców nigdzie nie kupi. Poza tym SKR w Wodzieradach znowu zapaskudziła sprawę i na dwunastu hektarach leży słoma. Było słońce, to nie sprasowali, i co jest? Kompletne dno! Zyto by się posiało, byłyby na wiosnę kiszonki, potem kukurydza, a tak, zgrzytaj człowieka zębami, i patrz, jak gnije.

Starszy instruktor rolny, Stanisław Wata, wyjaśnia, że nacelnik prze-meblowałby tę SKR jak trzeba, tylko skąd sprowadzi nowych, dobrych fachowców, kiedy nie ma porządnym mieszkań.

A Tadek Bońska, podobny do ojca, czariniawy, szczupły chłopak, tylko mniej porywczy, mówi, że w październiku chciał odwalić pokazowe wesele na siedemdziesiąt par (narzeczona to dziewczyna z gospodarstwa, pracuje jako laborantka w przetwórni), ale odłożył na wiosnę. Nacelnik już się zaprosił na wesele, lecz Tadek oświadczył, że dopiero się ożeni, jak zrobią drogę do Julianowa. A co, orszak ugrzęźnie w błocie i pan młody będzie tachal przez dwa kilometry żonę na plecach?

Z tym weselem trzeba poczekać, ponieważ wskutek faszczowego lata w gospodarstwie zwalnia się taka kupa roboty, że Chryste Panie!

A z drogą to święta prawda. „Wojga” telepała się jak cielnia krowa, klucząc po poboczach, nim wjechała w ten nizinny krajobraz, pełen łąk i lasków, gdzie pośród zamokłej zieleni czerwienili się mury wielkiego piętrowego domu.

I dopiero, gdy stanąłem pośrodku obszernego pokoju gościnnego, w którym jedną ścianę zajmuje biblioteka wypełniona najlepszymi pozycjami literatury światowej i dowiedziałem się, iż tu „rezyduje” Jadzia, najstarsza córka Bońskich, która 10 lat przepracowała jako polonistka, lecz wskutek choroby serca musiała zmienić zajęcie, stwierdziłem, iż to właśnie ona, taka drobna blondynka, z miłym uśmiechem zaprowadziła mnie w gminie do służby rolnej, dzięki czemu trafiłem do domu jej ojca.

1.

Władysław Bońska ma 57 lat. Twarz czerstwa, szroniaste włosy, pełne energii ruchy. W okularach wygląda na inteligenta. Żona Maria, lat 53, twierdzi, że pewnie przez te okulary. Z daleka słabo widzi, z bliska czyta.

Przed dwudziestu laty Bońskie przywędrowali do Julianowa pod Wodzieradami z biednej opoczyńskiej wsi. Ale wcześniej Bońska był szewcem, naukę zawodu pobierał w Warszawie. Był świetnym fachowcem, najlepiej wychodziło mu obuwie szpilkowe.

— Niech go pan spyta — mówi podstępnie żona — czy teraz potrafi szpilkę wbić.

Nie podjąłby się tego. Ma za to 52 hektary ziemi, 24 krowy dojne i 6 jałówek do zacielenia.

Ale nie jest jedynym właścicielem tego gospodarstwa.

Z inicjatywy byłego kierownika służby rolnej — wyślania Stanisław Wata — Bońskie założyli Zespół Rolników Indywidualnych. W skład zespołu weszli: Władysław Bońska, jego dwaj synowie, Stanisław i Tadek oraz teść Wartalski.

Ten ostatni miał 3 ha między ziemią Bońskich. Jest w podeszłym wieku, niezadługo zda swój grunt za rentę. Obecnie zajął się wozactwem, odwozi mleko z Dobkowa i Julianowa do zlewni w Chorzoszewie.

— Skąd tyle ziemi?

— U nas są „stare” wsi. Bardzo wielu rolników zdawało gospodarstwa za rentę. Wiesław Pelagia to prawie sami renciści. Dokonano komasacji indywidualnej, była też komasacja oficjalna, dzięki czemu Bońskie zgromadzili odpowiedni areal.

Maria Bońska ma, oczywiście, najwięcej do powiedzenia. Ale nie wskutek zwykłej babkowej gadatliwości, po prostu zna się na gospodarstwie, ukończyła specjalny kurs. Starszy Bońska ma także dyplom wykwalifikowanego rolnika.

— Na początku — mówi Bońska — było razem z lasem 17 ha. Stasiak kupił 12 ha, Tadek wydzierżawił na Pelagii 10 ha, teraz już to zdał. Dobraliśmy więc w sumie 23 ha, wszystko jest wykupione. A zaczynało się od starej chałupy, w której przy malowaniu spaliło się ze ścian. Stara obora i stodoła zaważyły się, trzeba było wszystko od nowa.

— Kiedy gospodarka w ruinie, następcy mają kłopoty z kredytami. Bank nie chce pożyczyc, ponieważ nie ma gwarancji na spłatę długów. I następcy uciekają wówczas do miasta.

— Proszę pana, Tadek chciał iść do szkoły rolniczej, Stasiu do elektrycznej. Gdy skończyli podstawówkę, nigdzie nie chcieli iść. Zostali na wsi, pokończyli Przesposobienie Rolnicze.

— A pan — zwracam się do Bońki — nie miał nic przeciwko ich nowatorskim poczynaniom?

— Ja jestem porywczy, ale potrafię trzeźwo myśleć. I mam jeszcze zdrowie, czasem tylko w krzyżu strzyknie na zmianę pogody. Ale na rowerze to bym się nie dał młodszemu o dziesięć lat. Bo swoje przeszedłem. Była bieda, Jadzia się kształciła, kilkanaście kilometrów zasuwałem na nocną zmianę do ogrodnictwa w Widzewie-Zdźarach. Przez trzy lata. Tylko 2 krowki były na początku. Co się miałem sprzeciwić? Że chłopaki kombinują, aby wyciągnąć nas z biedy? Zawierzylem im. Tylko przy budowie domu miałem wątpliwości, bo nie było gotówki, wzięło się tylko 100 tysięcy kredytu.

Łagodna twarz Bońskiej lekko czerwienieje.

— Bąkałeś, że dom niepotrzebny. A może jeszcze powiesz, coś gadał o kobietach?

— Jasne! Przy takiej technice czterech chłopów (jest jeszcze najmłodszy z synów, Roman) samemu da radę...

Najmłodsza córka, Halina, pracuje w szpitalu, żona Stanisława, Wiesia, bardzo dobra księgowa, jest zatrudniona w przetwórni.

— Poczekać — mówi z groźbą Bońska — jak mi ci z kobietami wyjdziemy w pole!

Ale w jej jasnych oczach migają ciepłe błyski.

2.

Specjalistą od „główkowania” i planowania w zespole jest 28-letni Tadek. On przekonał ojca, że należy postawić kurnik; sam chodził koło kur, porcejował karmę, zbierał jajka. Zresztą przez ten kurnik przeszło już wszystko: kury, świnię, byczki i krowy. Ojcu najbardziej przypadło do gustu bydło. Ojciec jest przewodniczącym Gminnego Koła Hodowców Bydła. Ojciec załatwia wszelkie sprawy urzędowe. Działa jako członek ZSL, odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. A że jabłko niedaleko parła od jabłoni, to i Tadek wyrósł na działacza. Jako radny wojewódzki wraz z komisją ds. zaopatrzenia ludności i usług niejednokrotnie wyciągał ukryte na zapleczu towary, a gdy

jakaś sprawa mieszkańców nie prześlą w gminie, załatwiał w województwie. Należy do ZSMP.

Mówi z pewną powściągliwością, oszczędnie i rozważnie.

— Po kurach były świnię. Poszła zaraza i z 60 sztuk niewiele zostało. Wtedy postanowiliśmy wziąć się za odchów byczków, takich do 270 kg. Poszło kilka rzutów po 100 sztuk, nie najgorzej wypadły, ale roboty było do diabła. Nie mieliśmy studni głębinowej, codziennie jeździło się 4 kilometry do rzeki i przywoziło tyśiącilitrową cysternę.

Teraz są krowy mleczne. Dostarczamy dziennie około 250 litrów mleka do zlewni. Tyle co prawie cały Julianów, który liczy 15 gospodarstw. O piątej wstaje ojciec i daje ściółkę pod krowy. O w pół do szóstej wstaje matka i Romek. Do kurnika nie warto było doprowadzać prądu, więc mama doi 6 krow ręcznie. Romek pozostał doi elektryczną dojarką, często wyręcza go ojciec, który sam musi wymyć dojarkę, żeby, broń Boże, paproszek nie znalazł się w przewodach. Ja wstaję o szóstej, poję jałówek i krowy, zadaję im karmę. Brat Stanisław, który mieszka na skraju wsi, spędza bydło, doi, zadaje karmę. Zimą dwóch zajmuje się krowami rano, dwóch zaś wieczorem. A kiedy będzie nowa obora, chyba podzielimy się na tygodnie. To znaczy tydzień ja z ojcem, drugi tydzień brat z Romkiem. Dzięki temu nic nie kuleje, i to jest właśnie zaleta zespołu. Stasiak z żoną pojechał teraz na wycieczkę, w przyszłości można będzie ruszyć na wczasy.

— Co z tą nową oborą?

— Inżynier z Bratoszewic zrobił ciekawy projekt, z łącznikami. Był nietypowy, nie zatwierdzono. Ale jest nowy plan, z wysokim strychem użytkowym. W tej oborze będą automatyczne poidła, dmuchawa do siana, wyrzutnia obornika, elektryczny podgrzewacz do wody, wózek paszowy. Do tych wszystkich urządzeń trzeba będzie zatrudnić mechanika-konserwatora...

Ciemnowłosa, szczupła dziewczyna, ubrana w dżinsy, Halinka, rumień się dyskretnie. No bo za jej „sprawką” niebawem wejdzie do rodziny Jurek, chodzą z sobą na poważnie. Jurek to świetny mechanik, ciągnik rozpolał w trymiga i złoży. Halinka chyba rzuciła pracę w szpitalu i weźmie się za gospodarstwo.

Tadek jakby nie zauważał zmieszania najmłodszej siostry. Pasjonuje go ta obora. Wstępny kosztorys wynosi 2.200 tys. złotych, ale na pewnym wydziale pełne trzy miliony. Już korzystają z kredytów, ściągają materiały. Żeby tylko można postawić je sienią fundamenty, to w czerwcu wprowadzi się pod dach krowy.

Można wziąć kredytu za 2.200 tys. W ciągu 4 lat tzw. karencji nie spłaca się długów. Przez następne 5 lat spłaca się wyznaczone raty. Jeśli w tym okresie rolnik hoduje planowaną liczbę krow i ilość sprzedawanego mleka wynosi 3 tys. litrów w przeliczeniu na hektar, umarza mu się 65 proc. zaciągniętego kredytu.

— Mamy w planie 55 krow dojnych. Będziemy odstawać dziennie 1.000 litrów mleka. Tyle ile sprzedają cztery okoliczne wioski. Ojciec twierdzi, że trzeba będzie zrobić

zbiornik i cysterna ze zlewni zabierze mleko bezpośrednio z gospodarstwa. Bo kto by napełniał i mył tyle baniek?

Bońskie mogą zbudować oborę i rozwinąć hodowlę, ponieważ zespół uzyskał już kartę gospodarstwa specjalistycznego. Po umorzeniu kredytów będą mieli do spłacenia około 800 tysięcy złotych. Jeśli zważyć, że w ciągu roku sprzedadzą mleka za milion złotych, to każdy się chyba przekona, że interes jest bardzo rentowny.

Ale trzeba o wszystko zadbać, zorganizować pracę, przygotować paszę. Trzeba wyszukiwać na aukcjach najlepsze jałówki, pielegnować te od własnych krow i uzupełniać stado. Najlepsze są krowy z dobrze ułożonym wymieniem, o małej głowie, odporne na choroby, dające po 20—25 litrów mleka. „Rekordzistki” są bardziej wrażliwe i delikatne, szybciej niszczą im się wymiona. Krowa może nosić 15 l mleka, przy większej ilości wymię pęka, a w najlepszym wypadku ulega zapaleniu.

Hodowla opłaca się, jeśli cielę wypije 300 l mleka od krowy, później musi być karmione chudym mlekiem w proszku, i kiedy krowa da rocznie 4 tys. litrów. Wprawdzie Tadek widział sprawdzoną trzyletnią krowę, która daje 7 tys. litrów, ale przy takiej za dużo zachodu. Taka krowa kosztuje tylko 100 tys. złotych...

A jak z paszą? Buraków nie opłaca się uprawiać, zbyt wiele pracy, 12 ha żyta na kiszonki, po życie kukurydza. 13 ha zbóż na paszę treściwą. Reszta łąki i pastwiska, z elektrycznym pastuchem i kwatrowym wypasem.

— A gdyby tego zabrakło, to się dokupi ziemi. Sąsiedzi będą oddawać gospodarstwa za rentę, Grabarczyk już chce sprzedać, Michałek też by oddał. Myślę, że dojdziemy do 100 ha...

Jak dobrze pójdzie, to w roku 1980 Bońska wykupi całą wieś...

3.

Romek, ten najmłodszy, nie bierze udziału w rozmowie. Matka twierdzi, że on nie jest do gadania. Ale od roboty w polu nie można go odpędzić. Jak zorze traktorem, to tak równiutko, jakby było zbronowane. Na plac mu się zbiera, gdy któryś z braci chce wsiadać na ciągnik. No i bardzo lubi tę elektryczną dojarkę, najchętniej sam ją obsługuje.

Zespół Rolników Indywidualnych, który rodzinie utworzyli Bońskie, jest nieźle zmechanizowany. Mają ciągnik C-355, trzy doczepy, snopowiązałkę, koparkę do kartofli, kosiarke do siana, roztrzaskacz do obornika, kultywator, plug, brony. Przetrasacz do siana bardzo potrzebny, jest już zapłacony, ale jeszcze nie dostarczony. Przy przetrasaniu 7 ha siana widłami, muszą iść na łąki wszyscy, dziewczyny również.

Na ogół, dzięki mechanizacji, jak się sobie radzą, ale bez maszyn SKR sprzęt zbóż jest nie do pomysłenia. Stanisław Wata twierdzi, iż ze względu na liczbę gospodarstw podupadłych, bez następców oraz jakości gleby, w Julianowie np. ziemia jest nie zmeliorowana, IV i V klasy, rola SKR

w prowadzeniu zabiegów agrotechnicznych jest wyjątkowa. I SKR mogłaby być operatywna, ponieważ ołpadła jej hodowla, a spółdzielnia produkcyjna przejęła od niej 300 ha rozdrobnionych pól.

Ale tak nie jest. W ubiegłym roku Bońskie mieli 17 ha zbóż do sprzątnięcia przez kombajn. SKR nie wywiązała się z zadania, sprzęt zboża trzeba było załatwiać poprzez Rąbień.

— Szlag mnie trafił — mówi z rozgoryczeniem Tadek — kiedy w ciągu dwóch dni wymiścili mi pięć przyczep żyta.

W bieżącym roku Bońskie byli druzdy na liście. SKR zaczęła sprzątać potem kombajn poszedł gdzieś pod Dobroń, i żyto zalał deszcz. Stracił około 3 tysięcy złotych, bo żyto było wilgotne, po niższej cenie. Skoszone je przed trzema tygodniami. Słoma wyschła, przyszedł nowy deszcz, i dotąd leży nie sprasowane. Nie można wapnować, talarzować, nie można zasiać żyta na kiszonki.

Z wypowiedzi innych rolników:

— W naszej SKR fachowcy od siedmiu bołoci. Nowy ciągnik, nie dotary, potrafia wykończyć w ciągu miesiąca.

— Zespołowe wapnowanie łąk miało być darmo. Nie wykonali. Też usługi na wapnowanie są tanie, ale wózek wapna kosztuje sporo.

— Panie, co to za traktorzysta, który nie umie założyć sznurka do prasy?

Wobec zaistniałej sytuacji u Bońskich myślą o drugim, cięższym ciągniku C-360. Bo jak się jeden rozkręci w czasie żniwa, to koniec. A poza tym dwoma ciągnikami można np. orać i od razu bronować, siać i zawiązywać pole. Myślą także o własnym kombajnie. Na 50, a w przyszłości na 100 ha kombajn staje się rentowny.

Stanisław, ten ze skraju wsi, ma „Fiata”, Tadek jeździ „Syreną”, jak będzie lepsza droga, też kupi „Fiata”.

— A wie pan — pyta senior Bońska — co oni jeszcze wymyślili? Ze obok tej nowej obory u Stanisława postawia wielki rodzinny blok mieszkalny. Daj im Boże, ja się chyba jednak stąd nie ruszę...

Ojciec nie musi się przyprowadzać. Ten dom jest piękny, z posadzkami, glazurą, centralnym ogrzewaniem, obudowanymi wannami w łazienkach. Komfort.

Postronni twierdzą złośliwie, że jak się Bońskie zwalą na kupę do bloku, to wynikają swary i waśnie.

Matka oświadcza nie bez dumy, że tak zgodnych synów ze świecą nie znajdzie.

To widać, świadczą o tym fakty, gospodarstwo rozwija się pięknie, bez zgrzytów i dramatów.

Bońskie są skromni, znają biedę i smak ciężkiej pracy. Synowie jako mali chłopcy szli na odrobek do innych gospodarzy, zarabiali przy zbiorze truskawek dla przetwórni. Nauczyli się szanować ludzi, ziemię i pracę. Jest to niewątpliwie również zasługa rodziców, ich postawy i wpływu wychowawczego. I dzięki temu rośnie i krzepnie gospodarstwo, będące modelem wsi niedalekiej chyba przyszłości.



Foto: Archiwum

„JOLANTA” W TEATRZE WIELKIM



Od prawej: Maria Szczuczka-Kudanowska, Roman Werliński i Jerzy Jadczak.

Foto: Ch. Zieliński

Po JOLANTE, ostatni z długiej listy utworów scenicznych Piotra Czajkowskiego sięgnął Łódzki Teatr Wielki. Premiera tego spektaklu, aczkolwiek planowana na koniec ubiegłego sezonu operowego z przyczyn obiektywnych nie mogła odbyć się przed wakacyjną przerwą, przeniesiono ją zatem na początek sezonu nowego. Fakt, iż w Teatrze Wielkim zmieniła się w międzyczasie dyrekcja (objął ją wielce zasłużony dla polskiego życia muzycznego Bohdan Wodiczko) pozwala żywić nadzieję na to, że postawi ona większe i ambitniejsze zadania przed zespołem łódzkiej sceny operowej.

JOLANTA. Trudno poddawać w wątpliwość słusność takiego właśnie wyboru, gdy onegdy powzięty zamysł staje się faktem dokonanym, a od tego dopiero momentu zaczyna się przecież kontakt każdego utworu z jego odbiorcą. Wychodząc z przysłowiowej „szuflady” twórcy każde dzieło sztuki „trafi” swą pierwotną autonomię, przestaje być jedynie widzą. Inscenizacja, konkretyzując jego irracjonalny byt czyniąc zeń fakt społeczny. Uczestniczący w tym fakcie, a traktowany na jedynie możliwych dżiś do przyjęcia zasadach partnerstwa widz, ma prawo, zastanawiając się nad dokonanym dla niego wyborem dzieła i nadanym temu dziełu scenicznemu kształtem, rozważać je także w szerszej niż jednostkowe przedstawienie perspektywie. Ma więc prawo szukać jego miejsca i znaczenia zarówno w linii repertuarowej teatru, jak i na mapie wydarzeń kulturalnych swojego miasta.

Niczego nie ujmując wielkiemu Czajkowskiemu, stwierdzić należy obiektywnie, iż JOLANTA nie jest najlepszym dziełem tego kompozytora, a jako ciekawostka w portfelu repertuarowym wielkiego teatru operowego może znaleźć się tylko wtedy, gdy po same brzegi wypełniony on jest dziełami większej rangi. W przeciwnym razie po prostu prze-

staje się oplaćcać duży wysiłek organizacyjny i artystyczny inwestowany w przygotowanie tej pozycji.

Mamy nadzieję, że nowa dyrekcja Teatru Wielkiego zadba przede wszystkim o godny jego miana dobór repertuaru i właściwą tego repertuaru realizację.

Piotr Czajkowski skomponował JOLANTĘ pod sam niemal koniec swego życia. Pomyślał do napisania tego utworu natchnęła twórcę „Damy pikowej” lektura jednoaktówki Henryka Hertza pt. „Córka króla René”. Pomyśl ów dojrzewał długo. W udzielnym petersburskim dziennikowi wywiadzie mówił kompozytor o ośmiu latach dzielących moment pierwszego kontaktu z tym tematem do chwili jego muzycznej konkretyzacji. W ciągu tych ośmiu lat powstają m. in. „Śpiąca królowa” i „Dziadek do orzechów”, a jeszcze wcześniej znakomity „Eugeniusz Oniegin”. W tym czasie rodzą się także: V Symfonia e-moll i Symfonia „Manfred”. Wszystkie wymienione tu utwory przysły na świat spon-tanicznie i narodziły się nie trwały długo. JOLANTA rodziła się niezwykle wolno i może dlatego, mimo zauważalnej przez wszystkich prostoty melodycznej (charakterystycznej zresztą dla całej twórczości Czajkowskiego) brak temu utworowi jednolitej muzycznej stylistyki. Fragmenty o sporej urodzie muzycznej graniczą tu z miejscami tak słabymi, że te ostatnie czynią wrażenie, jakby ten wielki kompozytor nie mógł poradzić sobie z nadaniem im pełniejszego i szlachetniejszego kształtu. Sam Czajkowski w czasie, gdy komponował JOLANTĘ świadomy był znacznego osłabienia tak charakterystycznej dla niego siły twórczej. Pisał o tym do swego brata Modesta, autora libretta: „Dreyczyło mnie poczucie zupełnej niemożności dobrego wykonania przyjętego na siebie obowiązku”. Wątpliwości na temat JOLANTY długo dreczyły kompozytora. Nie rozwiłał ich przyjęcie dzieła

przez publiczność i krytyków. Zdania były bowiem podzielone (od entuzjastycznego zachwytu do skrajnej negacji wartości tego utworu) i owa rozbieżność opinii na temat JOLANTY utrzymuje się do dziś. Obecnie ze znacznego dystansu oceniamy zarówno ostatnią operę twórcy, jak i stanowiący jej inspirację materiał literacki. Ten ostatni zwłaszcza, z całą pewnością zaważył na wartości dzieła kompozytora.

Ciekawa fabuła nie zrodziła bardziej interesującej od siebie muzyki. Po utworze tak mocnym w konstrukcji dramaturgicznej, jak „Romeo i Julia” (na fabularnej kanwie szekspirowskiego dramatu skomponował Czajkowski swój znakomity balet), po pełnym ekspresji „Jeźdźce łabędzim”, po „Eugeniuszu Onieginie” i „Damie pikowej” znacznie od nich słabsza literacko „Córka króla René” nie mogła zrodzić dramatycznej JOLANTY.

Jest więc JOLANTA utworem słabym i pozbawionym ogólniejszej koncepcji, ma wyraźne mielizny kompozycyjne i trzy zaledwie bardziej interesujące fragmenty, z których każdy stanowi całość tak odrębną, że odrębność ta działa wręcz niekorzystnie na całość utworu, ostrzeż bowiem i wyraźniej podkreśla dominujący w nim brak artystycznej spójności. Fragmenty te — to: aria Jolanty z pierwszego obrazu jednoaktowej opery i kołysanka piastunki, aria króla René i pieśń o świetle Vaudemonta. Mniej ciekawie rysują się sceny ensamblowe i partie chóru, nie mówiąc już o partiach orkiestrowych. Pomyśl, by otaczając bohaterkę ciemnością i zrodzony w niej świat wyobraźni oddać przed powierzenie odpowiednich partii orkiestrowych grupie instrumentów dętych wydaje się być dość kontrowersyjny. Zabieg taki wprowadza istotnie pewien mrok w brzmienie orkiestry, mrok ów wyraźnie jednak koliduje z nastrojem ilustrowanych w ten sposób scen, wszak wewnętrzny świat

niewidomej, ale jednocześnie nieświadomej swego nieszczęścia dziewczyny, od której ojciec odsunął wszelkie troski, jest światem metafizycznie jasnym, a niespójność ta w oczywisty sposób osłabia dramaturgię całości.

JOLANTA nie daje szczególnie interesujących możliwości wykonawcom głównych partii, ani kierownikowi muzycznemu. Stanowi jednak frapujący materiał dla reżysera i scenografa. Ci zaś nie poświęcili mu pełni swych umiejętności. Propozycja reżyserska Bolesława Jankowskiego daleka była od wszelkiej inwencji (bo nawet jeśli nie o szczególną inwencję tu chodzi, to przynajmniej o rzetelność i klarowność tak podstawowych rozwiązań sytuacyjnych, jak choćby logiczne wejścia i wyjścia postaci), a scenografia tak wybitnej w swej sztuce scenografiki, jaką jest Xymena Zaniewska-Chwedczuk, acz konsekwentna w zamiśle była dosyć banalna, zaś niebanalne kostiumy w widoczny sposób utrudniały zadanie wykonawcom.

Wśród wykonawców wyróżniłabym Marię Szczuczka-Kudanowską, obdarzoną ładnie brzmiącym, lekkim sopranem i umiejętnie nim operującą (nieco słabiej zaśpiewała partię Jolanty Luceja Wierzbicka-Jóźwiak), na uwagę zasługiwało też oszczędne aktorstwo artystki. Czyszym a przy tym głębiokim mezzosopranem poszczycić się może Alicja Pawlak — pierwsza wykonawczyni roli piastunki Marty. Równie poprawnie zaśpiewała tę partię Jadwiga Mirecka. Z dwóch odwróćców roli Vaudemonta na pierwszym planie stawiam Romana Werlińskiego dysponującego bardziej nośnym, lepszym i czystszy głosem oraz większymi umiejętnościami aktorskimi niż Franciszek Przestrzelski. Ciekawszymi w partii króla René wydał mi się Andrzej Malinowski, a w niewielkiej roli mauretańskiego lekarza Władysław Malczewski (król Prowansji był także Tomasz Filas, a rolę lekarza oprócz Włady-

śława Malczewskiego kreował także Zbigniew Studler). W słabszej niż zwykle dyspozycji głosowej i aktorskiej znalazłam tym razem Jerzego Jadcza w roli Roberta (tu dopisuje też zastrzeżenia, co do dykcji śpiewaka). Niezbyt dobrze zaprezentował się także Jerzy Rynkiewicz w roli Almeryka. Wszyscy pozostali wykonawcy w miarę poprawnie wywiązyali się ze swych zadań. Wymieniam więc tylko dla odnotowania ich udziału w dwóch premierowych przedstawieniach: Kazimierza Kowalskiego i Stanisława Michońskiego (w roli Bertranda), Alicję Borkowską i Irenę Jurkiewicz (Brygida), Krystynę Rorbach i Mirosławę Świerszcz (Laura). Nie zachwylił tym razem chór przygotowany przez Henryka Karpińskiego, ani orkiestra, którą prowadził Kazimierz Wienciek. Ten młody, ale kilka już lat pracujący w Łódzkim Teatrze Wielkim dyrygent wyraźnie nie panował nad zespołem orkiestrowym, w którym szczególnie źle brzmiały owe — tak przemyślnie użyte przez Czajkowskiego instrumenty dęte. — Na marginesie już tylko zwracam uwagę na niezbyt szczęśliwy, a miejscami wręcz drażniący ucho przekład libretta dla określań takich, jak „ślepy o kolorach” (zwłaszcza gdy padają w romantycznej arii zakochanego Vaudemonta) warto było poszukać jakichś łagodniejszych odpowiedników.

Zamykając sprawę JOLANTY wyrażam nadzieję, iż stremowany atmosfera premiery zespół poprawi drobne niedociągnięcia. Tego, iż spełnia się nadzieje na powrót Teatru Wielkiego do jego niegdysiejszej świetnej formy. Z taką właśnie pewnością wszyscy czekamy na nową premierę tej sceny.

EWA PANKIEWICZ

UPROWADZENIE MOZARTA

A więc nieprawdą jest, jakoby Mozart miał wykorzystać chwilowe zamieszanie przy mównicy na jednym z zebrań, wdrapać się na nią i rzec: „Panowie! Popeniłem „Uprowadzenie z seraju”. Kajam się oto przed wami, Ukarczcie!”. Natomiast prawdą jest, że zdarza się niektórym porwać z owego domu szczęśliwości i spokoju, jakim jest dobra sława u potomnych, najszcowniejszych i najbardziej zasłużonych. Wystarczy niestyle wykonane, czyli podparządowanie tekstu najczęstiej własnym możliwościom wykonawczym. Niedługo już zresztą odechciało się komponowania, gdy pomyślał o przyszłych wykonawcach, lub gorzej: ich braku. To ostatnie co prawda Mozartowi nie grozi — geniuszów uznanych wykonuje się i to z wyjątkowym pietyzmem. Bywa, że ze szkoda dla sztuki żywej, ale to szczególnie wypadki.

Nie jestem zwolennikiem absolut-

nej zachowawczości, gdyż znając realia i życie praktyczne, nie lubię oglądać się w roli naiwnie wierzącego w „tamte” ideały estetyczne. Może znajdę jeszcze okazję do szerszego uargumentowania takiego stanowiska. Dziś powiem najogólniej: przewalili się nad nami dwie potworne wojny. I nie tylko to, że trzeba nam było później weryfikować wszystkie prawdy o człowieku i jego „duszy” od nowa, ale że zmusiła nas historia do zajęcia innych stanowisk estetycznych. Aby więc klasyka nie stała się „laciną” lub sztuką dla sztuki, broniąc jej przed martwością i w niektórych wypadkach przed trywialnością, ożywiamy ją — musimy! — własnym XX-wiecznym życiem i nowymi kryteriami smaku. Chcąc, czy nie — wszystko jedno! Bo sztuka musi żyć. Zrozumiałe oczywiście, że nie kosztem stylów wykonawczych ani poziomu.

Wróćmy do Mozarta, który — im

dalej poruszamy się w epoki — jest coraz trudniejszy”, bowiem im człowiek bardziej skomplikowany, tym trudniej przechodzi najprostszą rzecz. Zatem gdzie to uprowadził Mozarta Łódzcy filharmonicy? Twierdząc, że porwali go (lub się na niego) aby bez zainteresowania na dłużej porzucić po pierwszych taktach. Ja wiem, że w orkiestrze jest pieknie trudno pracować, bo to i jak mistrz grać trzeba a jednocześnie nie wolno bawić się w wirtuozę, gdyż wszyscy są rozliczani jako jeden zespół. A tymczasem orkiestra prezentuje nam wszystkie możliwe (i niemożliwe) „szkoly” wykonawcze. W całej uwerturze nie znalazłem ani jednego dźwięku, który skończyłby się precyzyjnie w przewidzianym miejscu. Może to taka moda teraz, że grupy „właza” na siebie z rozkoszą zamazując wszystko, co by się tylko dało? Nuty Mozarta pokazują wszystko najwyraźniej. Gdyby tak jeszcze słuchać

siebie wzajemnie? Ciekaw jestem, co robią (i jak ćwiczą) najznakomitsze zespoły filharmoniczne, skoro radzą sobie z problemem — nazwijmy go — „szumu” skrzypcowego. Czyżby wszyscy grali idealnie te same wysokości, jeśli nie słycać u nich szerokiego pasma intonacyjnego?

Nawet gdyby tę uwerturę przyszło przyjąć jako faktyczną uwerturę graną przed spektaklem w operze i z „kanału”, to usprawiedliwizy dodatkowo orkiestrę rozgrywaniem się, nie daje się pojąć tej muzyki za nieszczęśliwą próbę mozartowskiego arcydzieła.

Potem był Prokofiew. I był też problem, jak towarzysząc precyzyjnie soliste, pomyśleć utwór jako całość. Przecież to wcale nie zabawne widzieć orkiestrę bawiącą się wygrzywaniem nut, gdy rzecz, którą robią, nie ma przysłowiowych rąk ani nóg.

Trzeci koncert fortepianowy C-dur op. 26 jest dziełem bardzo trudnym. Jego tocatowość i motoryka to dla nas w sztuce pianistycznej zupełnie inny „resort”. Wychowani pokoleniami na Chopinie dość słabo „kontaktujemy” z tym środkiem wyrazu. Dopiero długotrwałe studiowanie tekstu odkrywa Prokofiewa — logika i konstruktor. I liryka na swój sposób. Lapidarność jego wypowiedzi zaznaczona jest wszędzie. Na jednym z listów do przyjaciół kładzie podpi-

sy: „PRKFW”. Toż to C-dur podpisu pianisty!

Wykonawczynią koncertu była MARIA KORECKA-SOSZKOWSKA, która znakomicie poradziła sobie z tym męskim koncertem. Zadziwiła temperamentem i precyzją. Może tylko tempo w stosunku do szkoły radzieckiej, która jest tu pewnym miernikiem, były nieco wolniejsze. Również pedalizacja mogła się nie podobać — zbyt obszerna i trochę zamazująca. Ostatecznie nerw prokofiewowski, to gra secco.

Sylwetkę artystyczną dyrektora SZOSTAKA wielokrotnie odmalowywano, bowiem okazji zawsze było wiele. Podobno jak ptotka niesie, jest człowiekiem trudno ulegającym namowom interpretacyjnym, ale czy dziwnie się można, jeśli jest się wewnętrznie tak doskonale zorganizowanym? Miec doskonałą pamięć, to nie innego jak być idealnie uporządkowanym. Do tego krągłość jego gestów kojarzy się z płynnością, a ta przecież jest podstawowym kryterium w sztuce odtwórczej. Może zdziwić brak symfonicznego oddechu w symfonii d-moll Francka, ale to już jest sprawą interpretatora.

Oczekujemy następnych udanych występów.

PIOTR PIETRZAK

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI

ZACZEŁO SIĘ W PIOTROGRODZIE

W roku bieżącym mija 60 lat od wybuchu Rewolucji Październikowej, mija też 60 lat od chwili narodzin filmu socjalistycznego. U progu tworzenia rewolucyjnej kroniki proletariackiej, podobnie jak w szeregach Armii Czerwonej, znajdowali się również Polacy. Kilku polskich filmowców w okresie I wojny światowej pracowało w kinematografii rosyjskiej, część z nich, zmobilizowana, znalazła się na froncie w charakterze operatorów wojennych. Z nich troje, a mianowicie: Jan Skarbak-Malczewski, Eugeniusz Modzelewski i Piotr Nowicki stali się, obok filmowców rosyjskich, twórcami pierwszych kronik wydarzeń rewolucyjnych poczynając od lutego i marca 1917 roku.

Jan Skarbak-Malczewski i Eugeniusz Modzelewski akurat wrócili z frontu do Piotrogradu i trafili w samo centrum burzliwych dni nadwieskiej stolicy. Zaczęli, w miarę możliwości, rejestrować na ulicach miasta wszystkie wydarzenia jakie wówczas miały miejsce. Mimo wielu trudności (wyłącznie kamera na statywie i niebezpieczeństwo życia) stali się dokumentować wszystko co było istotne. Kierownikiem ekipy filmowej wojskowej wytwórni „Komitetu Skoblewskiego” został Grigorij Bołtiański, który był także członkiem Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. On to usiłował przy pomocy operatora Modzelewskiego sfilmować przyjazd z emigracji do Piotrogradu W. I. Lenina w dniu 3 (16) kwietnia 1917 r. Lenin wysiadł z pociągu na Dworcu Fińskim, ale niestety, kamera na statywie i falujący tłum — nie pozwoliły na realizację, pierwszego w dziejach, filmowego zdjęcia wodza rewolucji proletariackiej. Udało się to jednak drugiemu polskiemu operatorowi, Janowi Skarbkowi-Malczewskiemu, którego parę miesięcy później tenże Bołtiański przyprowadził do siedziby Piotrogrodzkiego Komitetu Partii Bolszewików, gdzie Lenin wówczas urzędował. Zdjęcia te weszły do Kroniki Filmowej pt. „Wolna Rosja” pokazywanej przez Bołtiańskiego w kinach od 18 czerwca (1 lipca) 1917 r.

Polscy operatorzy w Piotrogradzie byli bardzo aktywnymi. Dokumentowali kamerą rozmaite bieżące wydarzenia rozwijające się rewolucji proletariackiej. A więc wielką demonstracją ludności Piotrogradu nad grobami ofiar rewolucji na Polu Marsowym, która stała się prawdziwym przeglądem sił partii bolszewickiej, starcia zrewolucjonizowanych żołnierzy i robotników z policją werną burżuazyjnemu Rządowi Tymczasowemu, pochód pierwszomajowy i szereg innych manifestacji.

Trzeci z Polaków, operator Piotr Nowicki wrócił z frontu do Moskwy i tam go zastały wypadki rewolucyjne z 1 (14) marca 1917 r. Od tego dnia zdarzenia następowały tu szybko po sobie, podobnie jak w stolicy powstała Rada Delegatów Robotniczych. Nowicki zaopatrzony w zezwolenia Moskiewskiego Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych rozpoczął rejestrację wypadków wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Był świadkiem aresztowania i rozbrajania carskiej policji i żandarmerii, ujawniania skonfiskowanej broni bojowej o wolność zmagazynowanej w komisariatach policji. A także miejsca tortur stosowanych wobec aresztowanych. Zdjęcia Nowickiego to dowody niedłuzkiej walki caratu z wciąż potęgującym się rosyjskim ruchem rewolucyjnym — cenny dokument historyczny. Sfilmował też Piotr Nowicki obchody pierwszomajowe w starej stolicy Rosji, które w odróżnieniu od Piotrogradu, przebiegały tu spokojnie.

Wszystkie zdjęcia Nowickiego weszły do filmu dokumentalnego pt. „Wielkie dni rewolucji w Moskwie 28 lutego — 4 marca 1917 roku”, wyświetlanego w kinie „Ars” przy ul. Twerskiej.

W końcu lipca 1917 r. Piotr Nowicki został przez swoje władze delegowany do Piotrogradu, gdzie włączył się do filmowej ekipy Bołtiańskiego. Jednym z pierwszych jego reportaży filmowych w stolicy były zdjęcia z procesu b. ministra wojny, gen. Suchomlinowa oskarżonego o zdradę państwa.

Październik

W przeddzień Października wszyscy polscy operatorzy byli czynni na ulicach miasta, gdzie często zdarzało się im rejestrować na taśmie filmowej starcia oddziałów czerwonogwardyjskich z oddziałami podchorążych, paniki ludności zaskoczonych starciami ulicznymi, budowy barykad przed gmachami rządowymi i ochronę Pałacu Smolnego, gdzie urzędował dowódca przygotowaniami do zbrojnego powstania Komitet Wojskowo-Rewolucyjny na czele z W. I. Leninem. Nocny atak przeprowadzony na sygnał z Aurory na Pałac Zimowy, siedzibę Rządu Tymczasowego nie został, z uwagi na warunki techniczne, przez operatorów sfilmowany. Natomiast nazajutrz 25 października (7 listopada) 1917 r. już wszyscy wyruszyli na miasto dokumentując zderzenia i fakt zwycięstwa w Rosji rewolucji proletariackiej.

Polscy operatorzy brali udział w filmowaniu wojsk rewolucyjnych, które rozgromiły oddziały gen. Krasnowa maszerujące w ostatnich dniach października na Piotrogród, celem obalenia władzy Rad. Piotr Nowicki rejestrował na taśmie filmowej wybuch rewolucji w Finlandii i wydarzenia w Kijowie w grudniu 1917 r. Eugeniusz Modzelewski został oddelegowany do Brześcia Litewskiego, celem sfilmowania konferencji rozejmowej radziecko-niemieckiej w grudniu 1917 r. On też razem z Nowickim był autorem reportażu ze zwołania i rozwiązania Zgromadzenia Ustawodawczego ze stycznia 1918 r. a także obchodów pierwszomajowych uroczystości w Moskwie. Podobne uroczystości w Piotrogradzie sfilmował Skarbak-Malczewski.

Na jesieni 1918 r. Eugeniusz Modzelewski i Jan Skarbak-Malczewski powrócili do kraju, natomiast pozostał w Rosji Radzieckiej Piotr Nowicki i pracował w radzieckiej kinematografii, realizując liczne reportaże dokumentalne.

U kolebki proletariackiego filmu fabularnego byli także Polacy, realizując tzw. agitki, krótkie filmy o charakterze propagandowym. Z nich operator Stanisław Sebel i reżyser Edward Puchalski powrócili do kraju, w Związku Radzieckim pozostał Czesław Sabański, bardzo płodny twórca filmowy, autor scenariuszy, scenograf i reżyser.

W latach międzywojennych

Po powrocie z Rosji Radzieckiej w latach 1918—1921 polskich reżyserów, aktorów i operatorów filmowych urwała się, wyraźna dotąd, nić kontaktów i współpracy polskich i radzieckich filmowców. Stosunki polityczne między Polską a Rosją Radziecką zaczęły się stopniowo normalizować dopiero po zawarciu traktatu ryskiego w 1921 r. Śladem kontaktów handlowych, które nawiązano jako pierwsze, poszły układy polityczne szczególnie po uznaniu ZSRR de jure przez większość państw europejskich.

Filmy radzieckie zaczęły ukazywać się na ekranach kin polskich w 1926 roku. Pierwsze z nich to: „Car Aleksander II”, „Polikuszka”, „Dziadek Mróz”, „Miłostki carskiego huzara”, „Niedźwiedzie gody”. Przyjęte zostały przychylnie przez krytykę filmową, podobnie jak publiczności kinowej. Realistyczny styl gry aktorskiej, przeważnie czołowych wykonawców scen radzieckich, dobra reżyseria i piękne zdjęcia — odróżniały te filmy korzystnie od zachodnio-europejskich i amerykańskich. W latach 1927—1929 wyświetlono w Polsce 19 fabular-

nych filmów radzieckich. Arcydziełem kina radzieckiego, jak „Pancernika Potiomkina” Eisensteina i „Matki” Pudowkina nie dopuszczono na polskie ekrany, gdyż cenzura państwa wstrzymała je za niebezpieczne dla ustroju burżuazyjnego, tematyka ich była bowiem zbyt rewolucyjna, mogła stanowić zagrożenie. Pierwszym filmem radzieckim z rzędu nowatorskich i wybitnych, który został wyświetlony w kinach polskich była „Burza nad Azją” Pudowkina, która zafascynowała polską krytykę filmową i widzów kinowych.

Po paru latach wyświetlania filmy radzieckie zaczęły stopniowo zdobywać coraz większe powodzenie. Szereg krytyków filmowych nawoływało do zwiększenia ich liczby w polskim repertuarze kinowym. Domagano się zakupu arcydzieł kina radzieckiego, dzieł Eisensteina, Pudowkina, Dowżenki i innych, już głośnych w świecie. Akcentowano ich wysoką wartość artystyczną i zawarte w nich prawdy ogólnoludzkie niosące nowe prądy i idee. Te właśnie cechy kina radzieckiego wzbudziły jednak obawy polskiego środowiska burżuazyjnego, które poczuło się zagrożone. I oto, poczynając już od filmu „Burza nad Azją”, cenzura warszawska zaczęła systematycznie osłabiać wymowę i ideową filmów radzieckich poprzez kaleczenie kopii ekranowych drogą fałszowania napisów w niemych lub wycinania niektórych scen i epizodów w dźwiękowych filmach. Przed tym barbarzyństwem nie uchroniły się ani film I. Trauberga „Błękitny ekspres”, ani film N. Ekka „Bezdomni”, ani film F. Ermlera i S. Jutkiewicza „Turbina 50 000”.

Zrodziła się potrzeba obrony filmów radzieckich przed zakusami cenzury, potrzeba wyjaśnienia polskim widzom kinowym ich właściwej treści i charakteru wobec brutalnej ingerencji władz do ich wymowy ideowej. Zadania tego podjęli się publicyści i krytycy filmowi na czele z docentem Wolnej Wszechnicy, Stefanem Zahorskim, doktorem historii sztuki, a wkrótce do akcji tej przylączyło się Stowarzyszenie Miłośników Filmu Artystycznego, „START”, które zaczęło urządzać zebrania połączone z pokazem filmów radzieckich i dyskusją, podczas których piętnowano niechlubne poczynania polskich władz cenzuralnych. Miało miejsce szczególnie w stosunku do „Bezdomnych” i „Turbiny 50 000”. Najwięcej filmów radzieckich wyświetlono w Polsce w okresie polepszenia się stosunków politycznych polsko-radzieckich w latach poprzedzających podpisanie paktu o nieagresji z ZSRR i w parę lat później. W Warszawie powstały wówczas dystrybucyjne biura wynajmu filmów, jak: „Poloniafilm”, „Populifilm”, „Sowpofilm”, które zajmowały się przede wszystkim importem filmów radzieckich nie zrażając się sztykami władz i innymi trudnościami. Dzięki ich energii i przedsiębiorczości większość ze sprowadzonych do kraju fabularnych filmów radzieckich, co najmniej 90 zostało wyświetlonych w polskich kinach.

Jest rzeczą charakterystyczną i zadziwiającą zarazem, jak wśród polskich widzów kinowych i krytyków film radziecki zjednywał sobie sympatię i podziw. Nawet przeciwni, tuzinkowi, wcale nie zauważony przez radziecką krytykę artystyczną obraz znajdował w Polsce poklask, a sprawozdawcy kinowi zalecali go publiczności, jak np. „Wiejskie grzechy” lub „Miłość dońskiego kozaka” reż. O. Preobrażenkiej i I. Prawowa. Powodzenie miały adaptacje klasyki rosyjskiej, jak „Burza” wg A. Ostrowskiego, „Petersburskie noce” wg F. Dostojewskiego, „Ostatni z Golewiewych” wg M. Saltykowa-Szczedrina i inne. Wielki triumf odniosła komedia G. Aleksandrowa „Świat się śmieje”, publiczność polska przyjęła aplauzem film G. Kozincewa i L. Trauberga „W walce z caratem” („Młodość Maksyma”) mimo prób cenzury zatarcia jego wymowy ideowej przez wycięcie szeregu scen, przeciwko czemu gwałtownie protestowali publicyści na łamach prasy tygodniowej i codziennej. Był to jeden z dowodów doceniania przez polskie sfery rządzące w okresie przedwrześniowym siły oddziaływania filmowej sztuki radzieckiej na polskie masy pracujące i możliwo-

ści budzenia świadomości klasowej. Film radziecki w Polsce urastał do roli ambasadora i przewodnika nowych prądów i idei ogólnoludzkich. W roku 1937 już nie zezwolono na wprowadzenie na ekrany polskich kin żadnego nowego tytułu radzieckiej kinematografii.

Pomoc i współpraca

Filmowe kontakty polsko-radzieckie zostały nawiązane ponownie dopiero w czasie II wojny światowej. Kilku polskich reżyserów i operatorów filmowych schroniło się wówczas przed nawałą hitlerowską w Związku Radzieckim i oni to przy i Dwywiji Piechoty im. T. Kościuszki utworzyli czołówkę filmową. Podobnie, jak w latach I wojny światowej polscy aktorzy i reżyserzy teatralni, deportowani z Warszawy w głąb Rosji, spotkali się z pomocą i opieką ze strony swych kolegów rosyjskich, tak i obecnie filmowcy radzieccy popieścili z poparciem i pełną życzliwością polskim uchodźcom. Władze kinematografii ZSRR wyposażyły Czołówkę Filmową WP w kamery zdjęciowe i aparaty fotograficzne oraz w niezbędny surowiec umożliwiając Polakom dokumentowanie faktu tworzenia na ziemi radzieckiej pierwszej formacji ludowego wojska polskiego.

W oparciu o tą wszechstronną pomoc powstały reportaże Czołówki, jak: „Przysięgamy ziemi polskiej” z uroczystości złożenia przysięgi żołnierskiej przez i Dwywiji Piechoty im. T. Kościuszki w dniu 15 lipca 1943 r. oraz „Polska walcząca”, dokumentujący chrzest bojowy Dwywiji Kościuszkowskiej w bitwie pod Lenino 12 października 1943 r., nacrecone przez operatorów Stanisława Wohla i Władysława Forberta.

Następnie Czołówka Filmowa WP powiększona o kilka dalszych polskich filmowców oraz oddelegowanych przez władze radzieckie do pomocy operatorów J. Jęfimowa i O. Samuczewca, korzystając stale z wyposażenia technicznego i surowca przydzielanych ze swych zasobów przez Centralną Wytwórnię Filmów Dokumentalnych w Moskwie — kontynuowała realizację reportaży wojennych w miarę wyzwania ziem polskich. Ze zdjęć Czołówki powstały wówczas filmy dokumentalne: „Majdanek — emerytariat Europy”, „Na zachód” (o przełamaniu Wału Pomorskiego), „Bitwa o Kolobrzeg”, „Zagłada Berlina”.

Pomoc i współpraca radzieckiej kinematografii nie ustawała wraz z zakończeniem działań wojennych. Polski przemysł filmowy został doszczętnie zniszczony przez okupanta hitlerowskiego. Atelier i laboratoria, skoncentrowane przed wojną w Warszawie, także legły w gruzach. Polowa co najmniej kin nie nadawała się do użytku z braku projektorów i dewastacji budynków. W Łodzi rozpoczęto budowę atelier oraz laboratorium do obróbki taśmy filmowej. Należało je jednak wyposażyć w niezbędny do funkcjonowania sprzęt techniczny i urządzenia. Z pomocą przyszły znowu władze kinematografii radzieckiej, mimo własnych trudności w powojennej odbudowie. Dostarczono maszyny, gotowe urządzenia, przydzielono specjalistów, udzielono fachowych rad przy pierwszym stadium produkcyjnym. Wojskowe władze radzieckie udzieliły daleko idącej pomocy w odzyskaniu sprzętu technicznego zrabowanego przez Niemców w czasie okupacji i wywiezionego w głąb Rzeszy. Wkrótce można było uruchomić część kin dzięki przydzieleniu przez kinematografię ZSRR 40 przenośnych aparatów projekcyjnych na taśmie 35 mm. W ślad za pomocą techniczną zaczęły napływać do Polski również filmy radzieckie produkcji wojennej, jak „Tęcza” M. Dońskaja, „Zoja” L. Arszatama, „Ona broni ojczyznę” F. Ermlera, „Najazd” A. Rooma i inne, które przedstawiały dramatyczne obrazy walk ludzi radzieckich z okupantem, mówili o uczuciach prostych i tragicznych, zrozumiałych bo przeżytych, technicznych prawd i optymizmem. Ten kontakt polskiego widza z kinem radzieckim niósł za sobą zarzewie zrozumienia wzajemnych losów dzięki podobnej historii ruchu oporu i walki z faszystwem. Patriotyzm ludzi radzieckich, ich walka o przetrwanie i zwycięstwo były bliskie Polakom.

W pierwszym etapie rozwoju wojennych stosunków polsko-radzieckich w dziedzinie kinematografii, który można zamknąć rokiem 1947, etapie dotąd ciągle jeszcze jednostronnej pomocy — da się zauważyć duże zaktywizowanie współdziałania w zbliżeniu na polu kultury filmowej i wzajemnej w tej mierze wymianie. Poczynając od 1947 roku zapoczątkowując trwałą tradycję, zaczęto w Polsce organizować coroczne Dni Filmu Radzieckiego. Inaugurowane zwykle na przełomie października i listopada dokonywały one przeglądu kina radzieckiego ilustrując proces przeobrażeń zachodzących w ZSRR. Prócz znaczenia artystycznego spełniały te Dni również funkcję polityczną i poznawczą pozwalając na lepsze rozumienie obu narodów.

W drugiej połowie lat czterdziestych nawiązano twórczą współpracę między kinematografiami Polski i Związku Radzieckiego. Pierwsze kontakty nastąpiły w filmie dokumentalnym w 1948 r., a tą próbą stał się film zrealizowany przez L. Warlamowa pt. „Polska odrodzona”, który powstał na zasadzie dwustronnej umowy i z dwustronną ekipą realizatorską.

Pełną dwustronną współpracę w filmie fabularnym poprzedziło świadczenie usług technicznych i wymiana wykonawców ról filmowych z czego korzystała najwięcej strona polska. Oto w „Ostatnim etapie” z reż. Wandą Jakubowska współpracował operator radziecki Borys Monastyrski, rolę więźniarek Oświęcimia grały dwie aktorki radzieckie W filmie Jerzego Zarzyckiego „Miasto nieujarzmione” rolę telegrafisty zagrał Władysław Tursieniewicz. W filmie „Żołnierz zwycięstwa” Wanda Jakubowska znowu korzystała z radzieckiej pomocy technicznej, zdjęcia pirotechniczne i charakterystyczne wykonał fachowcy radzieccy. Odtąd w wielu filmach polskich uczestniczyli filmowcy radzieccy bądź jako fachowcy od realizacji, bądź wykonawcy ról.

Pierwszym filmem będącym pełną współprodukcją w sferze fabularnej został „Lenin w Polsce” zrealizowany w 1966 roku przez Siergieja Jutkiewicza przy pomocy ze strony polskiej drugiego reżysera Jana Rutkiewicza i kierownika zdjęć Jana Łaskowskiego a także mieszanej ekipy twórczej i wykonawczej. Obie strony zgodnie podkreślały dobre wyniki tej współpracy, która powinna owocować w przyszłości i dawać nie mniej znakomite rezultaty.

Odtąd strona radziecka zaczyna coraz częściej korzystać z polskich usług i świadczeń technicznych. Polskim filmowcom dziękował za pomoc Michał Romm przy realizacji filmu „Zwyczajny faszysta”, a także Siergiej Kolosow za współpracę przy serialu „Minyerzy podniebnych dróg”, Władimir Basow za współpracę przy filmie „Tęcza i miecz”, Aleksander Ałow i Władimir Naumow za współpracę przy filmie „Legenda o Dylu Sowizdrzale” oraz inni. Do pełnej współpracy obu kinematografii należy zaliczyć film Ludwika Perskiego i Leonida Machnacza „Za waszą i naszą wolność”, film Sylwestra Czeńskiego „Legenda”, Siergieja Kolosowa „Zapamiętaj imię swoje”, Bohdana Poręby „Jarosław Dąbrowski”.

Duży udział ze strony polskiej miał miejsce przy realizacji filmu radzieckiego „Wyzwolenie” Jurija Ozerowa, a szczególnie przy jego następnej epopei filmowej lat wojny pt. „Żołnierze wolności”, w której sekwencja polska została wyeksponowana zgodnie z wielkością naszego udziału zbrojnego w rozgromieniu armii hitlerowskich.

Polski film Jana Łomnickiego pt. „Ocalić miasto”, w którym zostało ukazane autentyczne wydarzenie z końcowych miesięcy ostatniej wojny, a mianowicie historyczny manewr armii gen. Iwana Koniewa, dzięki któremu Kraków uniknął zniszczenia — zamyka 60 lat kontaktów filmowych i współpracy obu kinematografii, bowiem do grona wykonawców polski reżyser powołał aktorów radzieckich. Film „Ocalić miasto” reprezentował polską kinematografię na tegorocznym X Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie.

NA ZACHÓD OD ŁABY

Ucieczka Herberta Kapplera znów postawiła na porządku dnia problem zbrodni wobec ludzkości. Znów wypłynęła kwestia winy i kary. Kappler, były pułkownik „SS”, zdołał zbiec z więziennego szpitala w Rzymie. Ponoć był chory na raka. Ponoć, gdyż pewność co do tego nie ma. Jest natomiast pewność co do tego, że duże kręgi społeczeństwa „Bundesrepublik” powitały te ucieczki z uczuciem ledwo maskowanego zadowolenia, żeby nie powiedzieć triumfu.

To właśnie godne jest najbardziej odnotowania.

To właśnie dowodzi, że w przekonaniu wielu po tamtej stronie Łaby przestępcy wojenni nie istnieli. To wymusi zwycięzców, którzy dokonali zemsy na pokonanych. Wojna to wojna. Przeciwnie na wojnie się zabija, „nicht war?” Z żołnierz, żeby żyć musi zabijać. Czy to nie jest „klar”? Czego się nas zezepicie. Zakopmy już lepiej te wszystkie wspomnienia do ziemi... Kappler zakopał do ziemi przeszło trzydzieści niewinnych włoskich cywilów, których uprzednio polecił barbarzyńsko zamordować. Są martwi. Władze adwentowców z Republiki Federalnej Niemiec, powinni milczeć.

Teraz Kappler przebywa w Soltau. Znam to miasteczko. Przebywałem w nim przez kilka dni w kwietniu 1945 roku. Wjeżdżałem doń na angielskiej ciężarówce. Witały nas umarłe ulice i pusty jak wiejski cmentarz rozległy plac ratuszowy. Nigdzie żywego ducha. Na każdym balkonie biały, poddańcze flagi. W każdym oknie długie, białe przesłania. Straszliwa przy tym wszędzie pustka. Starczyło jednak jednym palcem stuknąć w zastanęte okno jakiegokolwiek domostwa z pruskiego muru, a momentalnie w oknie pokazywało się mrowie całe białych jak śmieć twarzy. Te uniesione głowy. To obrzydliwe płaszczenie się. To nadskakiwanie.

Dla nas sprawa była jasna i zrozumiała.

Oni wszyscy mieli nieczyste sumienia. Wiedzieli o tym, czyli się współwinnymi iudobójczej masakry narodów.

Do tego Soltau przysłała się dziś cała naręcza kwiatów z różnych krajów Bundesrepublik. To dla Kapplera. Jako wyraz uznania i szacunku. To od dawnych towarzyszy broni Ojczyzna czuła i namięta. Deutschland erwache! Jeszcze przyjdzie dzień rozrachunku. Deutschland, Deutschland über alles. Przestępcy wojenni. Wiele z nich wciąż jest na wolności. Przypuszcza się, że tysiące z nich żyje, pod fałszywymi papierami, przede wszystkim w krajach Ameryki Łacińskiej. Setki spośród nich są znane organom śledztwa. Nie się jednak nie da zrobić. Brak umów o ekstradycji. Za tą prawą zasłoną ukrywała się największa zbrodnia ze wszystkich czasów.

Niektórzy przebywają w więzieniach.

W Bundesrepublik znalazło się w celach dwudziestu czterech przestępców wojennych. Pomyślcie. Takie zbrodnie i taka garsteczka. W pobliżu Neapolu odsiaduje karę dożywotniego więzienia Walter Reder, major „SS”. To z jego rozkazu i pod jego okiem wymordowano mieszkańców jednego z włoskich osiedli wiejskich. Ta włość liczyła dwa tysiące mieszkańców. Po masakrze zostało przy życiu dwadzieścia osiemdziesiąt osób. Rząd włoski zapłacił przed kilku laty tych ludzi, czy są za zwolnieniem Redera — dwadzieścia osiemdziesiąt dwie osoby głośnawo przeciw.

W holenderskim więzieniu w Bredzie przebywa Franz Fischer, który wysłał trzydzieści tysięcy holenderskich Żydów do komór gazowych. W tymże więzieniu utokowano Ferdynanda von der Funten, który polecił wymordować tysiąc set Żydów w holenderskich szpitalach. Trzecim więźniem Bredy jest Josef Kotella, który odznaczał się bezprzykładnym okrucieństwem, jako esesman w obozach koncentracyjnych. W 1972 roku holenderski minister sprawiedliwości zasugerował możliwość przedterminowego zwolnienia wszystkich tych przestępców. Ta sugestia o mało nie doprowadziła wówczas do upadku koalicyjnego rządu.

W Holandii pamiętają. Pamiętają we Włoszech. Wszędzie pamiętają, gdzie przeszła noga hitlerowskiego żołdaka.

Tam jednak, gdzie o tym winno się pamiętać najustojnie i najdłużej, tam właśnie z zastanawiająca i wielka ochota o tym się zapomina. Toteż ucieczka Kapplera jest ostrzeżeniem. Sposób, w jaki esesmana Kapplera przyjęto w Soltau jest wyzwaniem zruconym tym wszystkim, którzy przeszli przez hitlerowskie katowinie. Bo, niestety, większość mieszkańców cichego i pokornego ongi Soltau, też już nie pamięta. Już im to wywietrzało. Nauka. Jak się zdaje, poszła w las. I to właśnie w całej tej sprawie jest aż tak niepokojące.

JAN BABIŃSKI

Wizyta, jaką I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, złożył niedawno w Paryżu, stanowi bez wątpienia istotny krok na drodze do dalszego, efektywnego umocnienia wzajemnych tradycyjnych więzi łączących Polskę i Francję. Stosunki polsko-francuskie mogą bowiem być uważane za wzorzec stosunków między państwami o różnych systemach politycznych i społecznych. Są one oparte na zasadach pokojowego współistnienia oraz kształtowane w duchu konstruktywnej współpracy politycznej, gospodarczej, kulturalnej i naukowo-technicznej przy przestrzeganiu zasady równoprawnego partnerstwa. Aktualny stan w rozwoju stosunków między obu krajami jest całkowicie zgodny z duchem „Deklaracji o przyjaźni i współpracy między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Francuską”, która została podpisana w czasie pierwszej wizyty tow. Edwarda Gierka we Francji, w październiku 1972 roku. Pomyślna realizacja postanowień stanowiących treść wzajemnych porozumień zarówno dotychczasowych jak i zawartych obecnie przyczyni się niewątpliwie do dalszego owocnego rozwoju współpracy obu krajów w wielu dziedzinach i do jeszcze silniejszego zacieśnienia więzi łączących narody polski i francuski.

Współpraca między naszymi krajami nie ogranicza się jedynie do stosunków dwustronnych, jej rezultaty są również widoczne na forum międzynarodowym, na którym Polska i Francja często występują wspólnie z inicjatywami na rzecz postępu odprężenia w Europie i umocnienia pokoju światowego.

Podobny charakter stosunków jak z Polską łączą Francję również z innymi krajami socjalistycznymi, a zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim, co znajduje wyraz w postaci licznych i ścisłych kontaktów tych państw na wielu płaszczyznach. Jest to zarazem niewątpliwym świadectwem realistycznej wizji współczesnego świata, jaka cechuje francuską politykę zagraniczną. W związku z powyższym wydaje się interesujące przeanalizowanie niektórych aspektów ewolucji, jaka dokonała się w okresie powojennym we francuskiej polityce zagranicznej, ewolucji, dzięki której zostały stworzone warunki do obecnego, pomyślnego rozwoju stosunków z zagranicą, których charakter ściśle odzwierciedla aktualną rolę i znaczenie Francji w świecie.

Z chwilą zakończenia II wojny światowej we francuskiej koncepcji polityki wobec świata następująca dość istotne przewartościowania spowodowane przede wszystkim nową sytuacją na arenie międzynarodowej i miejscem, jakie przypadło na niej Francji. Koncepcję polityki zagranicznej tego kraju cechował w końcu lat 40. pewien dualizm: oto bowiem jako naród Francuzi byli jeszcze zbyt świadomi swej niedawnej, mocarstwowej pozycji, gdy tymczasem jako wielkie mocarstwo Francja odgrywała już niewielką rolę w nowym układzie stosunków na świecie. Zniszczona w wyniku wojny, osłabiona wewnętrznie i zewnętrznie Francja nie reprezentowała już tej potęgi, by mogła działać w nim jako prawdziwie niezależna siła. Toteż w mniemaniu jej ówczesnych polityków istniało tylko jedno rozwiązanie, a mianowicie pogodzenie głęboko zakorzenionych ambicji odnośnie prestiżu i autonomii Francji na scenie międzynarodowej z realiami statusu tego kraju jako średniej rangi mocarstwa. I tak rozpoczął się ów proces adaptacji do nowej roli, w rezultacie którego fakt usunięcia się Francji na drugi plan stał się niebawem dla wszystkich głównych grupowań politycznych pretendujących do kierowania opinią publiczną ustaloną i jawnie ogłoszoną doktryną. Człowiek przywódca polityczny (z wyjątkiem de Gaulle'a) opowiedzieli się wówczas za tzw. ideą „ponadnarodową” we francuskiej koncepcji stosunków ze światem, co w istocie rzeczy było „poddaniem się Francji prawu, które nie byłoby jej prawem” (Charles de Gaulle: „Pamiętniki nadziei”).

Generalnie miał jednak za złe twórcom i propagatorom owej idei nie

tylko fakt dążenia do ścisłego powiązania losów Francji z losami świata zachodniego, a zwłaszcza Europy, ile ich rzekomą rezygnację z odgrywania przez ten kraj roli pierwszoplanowej. Poza tym, jak się wydaje, patrząc z perspektywy roku 1958, kiedy to de Gaulle powrócił do władzy, chodziło tu raczej o manewr polityczny polegający na zbijaniu kapitału na czymś, co w określonej sytuacji było koniecznością historyczną. Spróbujmy zatem pokrótce przedstawić założenia i rozwój polityki zagranicznej IV i V Republiki.

ANDRZEJ BLAJER

FRANCJI KONCEPCJA ŚWIATA

Oczywiście na plan pierwszy wybiega się tutaj problem stosunków z Europą. Gdy w roku 1950 Robert Schuman jako minister spraw zagranicznych i Jean Monnet jako komisarz do spraw planowania sformułowali francuską koncepcję Europy, jej dominantami stały się przede wszystkim:

— nowy kształt stosunków z Niemcami Zachodnimi, który wykluczyłby w przyszłości ewentualność sprzeczności niemiecko-francuskich, a w sferze gospodarczej ułatwiłby ekonomiczny rozwój Francji;

— dążenie na rzecz umocnienia wpływów i znaczenia Europy w sporych światowym świecie w nadziei, iż w ten sposób również głos Francji będzie lepiej słyszany;

— zapewnienie tej Europie ochrony i poparcia Stanów Zjednoczonych i, lecz tak, aby Amerykanie szukali swych głównych partnerów rozmów przede wszystkim w Paryżu;

— eliminacja w miarę możliwości wpływów angielskich na Starym Kontynencie i zastąpienie „Entente Cordiale” współpracą niemiecko-francuską.

Kształtowanie się tak określonej koncepcji europejskiej charakteryzowało dążenie polityków francuskich do utrzymania status quo. W konsekwencji uformowały się wówczas, obowiązujące zresztą do dziś, trzy elementy francuskiej polityki zagranicznej stanowiące niejako podstawy bezpieczeństwa:

1. Współpraca niemiecko-francuska, mająca stanowić swego rodzaju polityczną ochronę przed zaskoczeniami, jakie mogłyby pewnego dnia wyłonić się z nie wyjaśnionej przyszłości narodu niemieckiego.

2. Umocnienie Europy, jako ram międzynarodowych akcji Francji — w poważnej mierze także jej oddziaływania na Afrykę

3. Dalsze utrzymywanie amerykańskiej ochrony Europy i amerykańskiej kontroli nad zachodniemiemieckim potencjałem militarnym, przy jednoczesnym ograniczeniu politycznego wpływu Stanów Zjednoczonych na Europie.

W okresie IV Republiki podstawy interesów w stosunkach niemiecko-francuskich opierały się zasadniczo na dwu aspektach: politycznym i gospodarczym. Pierwszy z nich dotyczył m. in. kwestii zjednoczenia Niemiec i skomplikowanego statusu Berlina, przy czym formalną zgodę Francji jako kraju wielkiej czwórki na politykę zjednoczeniową można w zasadzie traktować jako ustępstwo na rzecz życiowo ważnego partnerstwa. W pierwszych latach „polityki europejskiej” doktryna niemiecka głoszona przez Quai d'Orsay brzmiała: „Jeśli boisz się zjednoczenia, musisz wypowiadać się za nim. Jeśli bowiem będziesz przeciwko niemu, dokona się ono przeciwko tobie”.

Nie mniej ważne były czynniki natury gospodarczej. Wspólna gra obu krajów wydawała się Francji na długą metę nie do pomyślenia bez lepszej równowagi potencjałów czyli bez sytuacji, w której każde z obu państw stanie się najlepszym klientem i dostawcą drugiego państwa. Koncepcja ta znalazła swoje odbicie w niemiecko-francuskim traktacie

której Europa zawsze zajmowała miejsce centralne) opierała się na kilku zasadniczych przesłankach:

1. Europa powinna stać się — pod kierownictwem Francji — ważnym elementem polityki odprężenia między Wschodem a Zachodem. Powinna ona, w myśl koncepcji Generala, jako związek niezawisłych państw narodowych, umacniać także we wschodnim świecie uczucia narodowe kosztem myślenia kategoriami bloków i w ten sposób czynić amerykańską ochronę coraz bardziej zbędną.

2. Rola Francji w Europie, jej pozycja w ramach „wielkiej czwórki”, emanacja nazwiska i legendarnej postaci szefa jej państwa, powinna zapewnić Paryżowi wśród młodych narodów Trzeciego Świata rangę, której kraj ten musiał się wywrzeć jako mocarstwo kolonialne. (De Gaulle żywił przy tym nadzieję, że zainteresuje sobą również Chińską Republikę Ludową).

3. Biorąc za podstawę swoją rolę w Europie i świecie, Francja, po zakończeniu wojny algierskiej, powinna silnie związać ze sobą świat arabski, przede wszystkim Afrykę Północną, aby umocnić własne bezpieczeństwo w rejonie Morza Śródziemnego i również w tym rejonie przyczynić się do osłabienia pozycji Stanów Zjednoczonych.

Ta nowa koncepcja, w stosunku do państw socjalistycznych została wyrażona przez de Gaulle'a w słynnej już trzdziesiątce: odprężenie — porozumienie — współpraca. Celem jej miało być podniesienie prestiżu i znaczenia Francji na arenie światowej oraz poprzez rozwój współpracy, zwłaszcza na płaszczyźnie ekonomicznej, zapewnienie Paryżowi pozycji pierwszoplanowej w stosunkach z ZSRR i krajami obozu socjalistycznego. Działanie, jakie de Gaulle podjął w tym kierunku, miało jeszcze jeden aspekt, chodziło bowiem o stworzenie wobec świata wrażenia niezależności Francji, nieprzynależności do żadnego bloku, jak również pozorów, że uda się jej odegrać główną rolę w przekształceniu Wspólnoty Europejskiej w „trzecią siłę” współczesnych stosunków międzynarodowych.

Po śmierci Generala wystąpiła konieczność pewnych korektur w jego obrazie świata, podyktowana rozwojem sytuacji w polityce międzynarodowej. Przede wszystkim uznano, iż gospodarczy i polityczny rozwój RFN nie pozostawia miejsca dla kierowniczej roli Francji. W odniesieniu do stosunków z ZSRR i krajami socjalistycznymi postanowiono uaktywnić i rozszerzyć niektóre płaszczyzny współpracy, zwłaszcza polityczną i gospodarczą, by w miarę postępu odprężenia nie pozostał w tyle za innymi czołowymi państwami, w szczególności USA i RFN. Politycy francuscy uswiadomili sobie również, iż zbudowana na międzynarodowym prestiżu priorytetowa pozycja Francji w państwach Trzeciego Świata jest coraz bardziej krucha. Państwa te zwracają się bowiem ku największym partnerom, a Francja powinna stać się ich „bramą do Europy”. Uznając w pełni wagę znaczenia „koncepcji europejskiej”, Paryż dokonał jednak rewizji swych stosunków z USA, wychodząc z założenia, że ich przyjaźniejszy klimat uczyni działalność Francji we Wspólnotie Europejskiej bardziej skuteczną. Tym samym było to równoznaczne z decyzją lepszego dopasowania francuskiej polityki zagranicznej dla jej aktualnych możliwości. W konsekwencji, w okresie rządów prezydenta G. Pompidou i obecnie je sprawującego V. Giscard d'Estainga dominantą francuskiej polityki zagranicznej stało się dążenie ku zacieśnieniu współpracy Francji ze wszystkimi czołowymi krajami naszego globu, by w ten sposób uczynić ją silnym państwem przemysłowym z zabezpieczonymi rynkami zbytu i z zasobami surowcowymi, a zarazem na trwałe unurtować jej szczególną pozycję polityczną we wciąż zmieniającym się świecie.

Dotykamy w ten sposób owej delikatnej natury stosunków francusko-amerykańskich. Początkowo opierały się one w zasadzie na zaufaniu i nieporozumieniu, jakie się w nich pojawiały dotyczyły jedynie spraw szczegółowych, głównie militarnych. Pierwsze poważne sprzeczności, jakie wyłoniły się w związku z polityką deklonizacyjną, miały niewielki wpływ na francuską ideę Europy, jednak z chwilą, gdy stosunki Francji z Republiką Federalną zaczęły się coraz bardziej zacieśniać, doszło na tym tle do regularnych przetargów między Waszyngtonem a Paryżem. Zaostrzyły się one zdecydowanie, gdy Amerykanie odrzucili projekt „dyktorii trzech” w NATO, przedstawiony przez de Gaulle'a w kilka miesięcy po objęciu prezydentury przez de Gaulle'a w zamian wystąpił z koncepcją wielostronnej siły nuklearnej. W odpowiedzi Francuzi obrali kurs przeciwny, usuwając ze swego terytorium sztabu NATO i likwidując bazy amerykańskie oraz głosząc konieczność posiadania własnej broni atomowej. Rozpoczęła się w ten sposób istotna faza francuskiej polityki zagranicznej, którą poprzedziło wycofanie się z Algierii. Polityczna wizja świata de Gaulle'a (w

okresie tym dokonał wiele transkrypcji orkiestralnych utworów Bacha, jest również autorem skomponowanej w 1942 r. „Muzyki dla wszystkich”.

Niezwykła, trwająca ponad pół wieku kariera Stokowskiego i jego wielka osobowość zyskały mu rozgłos światowy. Zapraszany do wielu krajów występował nie tylko na estradzie, lecz również w radio i telewizji. Zdarzało mu się niejednokrotnie walczyć z usięwionymi autorytetami i „gorszymi” purystów Indywidualną interpretacją dzieł wielkich kompozytorów.

Niezwykły wymagający wobec siebie i orkiestry, w trosce o najwyższy poziom wykonywanych utworów potrafił przerwać w połowie koncertu w Carnegie Hall, kiedy interpretacja utworu wydała mu się niezadowolająca. Podobne przypadki nie były odosobnione w jego karierze.

Jak rzadko który z dyrygentów, Stokowski potrafił utrzymać absolutne panowanie nad orkiestrą. W późniejszych latach odłożył batutę, dyrygując za pomocą niezwyklej ekspresji rąk.

„Prawdziwy, natężony dyrygent, którego prowadzenie orkiestry nie po-

lego jedynie na bezbłędnej technice, lecz stanowiło manifestację osobowości całkowitej koncentracji na wykonywanym utworze” — pisze jeden z amerykańskich dzienników.

W 1962 r. Stokowski założył własną orkiestrę symfoniczną w Nowym Jorku, złożoną w połowie z młodych muzyków — zarówno białych, jak i kolorowych, stwarzając w ten sposób szansę rozwoju młodym talentom. W 10 lat później powrócił na stałe do Anglii i zamieszkał w swej posiadłości w Hampshire. Podczas uroczystości 90-lecia urodzin powiedział zebrany w tej okazji gościom, że „muzyka i dobry przyjaciele są najważniejszymi rzeczami w jego życiu”. Wrazem jego niezwyklej „pasji twórczej i żywotności” jest 20 nagród dokonanych w tym okresie oraz zawarcie kontraktu z CBS, obejmującego na okres najbliższych 10 lat! „Duchowa młodość maestra — powiedział jeden z młodych muzyków — sprawia, że między naszym i jego pokoleniem różnice się zatarty”.

Stokowski często powoływał się na swoje polskie pochodzenie, odwiedzał też Polskę przed i po wojnie.

STOKOWSKI

W wieku 95 lat zmarł światowej sławy dyrygent amerykański polskiego pochodzenia — Leopold Stokowski. Aktywny do ostatnich chwil swego życia, jeszcze niedawno nagrywał II Symfonię Włosa Mendelssohna oraz Symfonię Bizeta z orkiestrą Filharmonii Brytyjskiej.

Odeście Stokowskiego — pisze „The Times” — stanowi w świecie muzycznym lukę, którą nieprzekroci da się wypełnić, zaś w „Daily Mail” i w „Guardian” czytamy m.in.: „Stokowski to wzór doskonałego artysty, który starał się przybliżyć muzykę klasyczną do zwykłego człowieka. Bezblędny w stylu twórcy wspaniałych transkrypcji organowych Bacha a zarazem propagator muzyki współczesnej”. Wiele dzienników zamieściło obszernie życiorysy i dzieje niezwyklej kariery człowieka, który „stworzony został dla muzyki”.

Leopold-Antoni Stokowski urodził się w Londynie w 1882 r. jako syn Po-

Jaka i Irlandki. W wieku 7 lat grał na fortepianie i skrzypkach utwory Mozarta, Beethovena, Brahmsa, Chopina i Debussy'ego, mając 10 lat wykonywał klasyczne utwory na organach. Początkowo uczęszczał do Royal College of Music, następnie zaś kształcił się we Francji i w Niemczech. Do USA Stokowski przybył w 1908 r.

Od 1912 r. związany jest z orkiestrą filadelfijską, z którą współpracował przez ponad 25 lat, i z której uczynił jedną z największych orkiestr światowych. Wielką zasługą Stokowskiego jest zapoznanie współczesnej generacji Amerykanów z awangardowymi kierunkami muzycznymi przez wprowadzenie do programów utworów Strawińskiego, Prokofiewa, Szostakowicza, Veresea, Berga, Schoenberg'a i in.

W okresie pobytu w Hollywood, do którego przyjechał w latach 1930, Stokowski odniósł wielki sukces w „Fantazji” Disney'a oraz w znanym filmie „Ich stą i ona jedna” z Deanna Durbin.

W następnych latach dyrygował wieloma wybitnymi zespołami, m. in. Orkiestrą Symfoniczną N.B.C. oraz orkiestrą Filharmonii w Nowym Jorku. W

BEZROBOCIE I SPADEK PRODUKCJI

Podsumowując wyniki działalności nowego rządu USA za okres pierwszych 6 miesięcy, wybitni specjaliści amerykańscy stwierdzają, iż szeroko rozreklamowany program wprowadzenia ekonomiki Stanów Zjednoczonych z sytuacji kryzysowej nie przyniósł oczekiwanych wyników. Co więcej, zdaniem specjalistów program ten jest nie do wykonania i z niepokojem obserwuje się nawrót w kierunku pogorszenia sytuacji.

Połączona Ekonomiczna Komisja Kongresu opublikowała sprawozdanie zawierające nader pesymistyczną ocenę perspektyw ekonomiki Stanów Zjednoczonych. Komisja stwierdziła także, iż prawdopodobnie nie uda się osiągnąć długofalowych celów prezydenta Cartera w dziedzinie ekonomiki. Trzy podstawowe zdania, które prezydent Carter postawił przed ekonomiką USA do rozwiązania w terminie do 1981 roku przewidują: obniżenie poziomu bezrobocia do 4,75 proc. (obecnie 7,1 proc. — red.), zmniejszenie tempa inflacji do 4,3 proc. i zrównoważenie dochodów i rozchodów w budżecie państwa. Jak zauważył przewodniczący Komisji, Bolling, autorzy sprawozdania dochodzą do wniosku, iż osiągnięcie tych celów jednocześnie do 1981 roku jest niemożliwe. Urząd Budżetowy Kongresu oraz wielu ekonomistów z sektora prywatnego, o poglądach zarówno liberalnych jak i konserwatywnych, zgadzają się z tą prognozą. Autorzy sprawozdania Połączonej Ekonomicznej Komisji Kongresu szczególnie pesymistycznie oceniają perspektywy handlu zagranicznego.

Rząd oświadczył, iż w lipcu tego roku portfele zamówień przedsiębiorstw przemysłowych zmniejszyły się i już trzeci miesiąc z rzędu obniża się indeks produkcji, który, teoretycznie rzecz biorąc, jest wskaźnikiem rozwoju tendencji ekonomicznej w przyszłości. Uważa się to za nowy dowód na wrót do spadku tempa wzrostu. Istnieją różne punkty widzenia na to, czy zmiany takich lub innych wskaźników świadczą tylko o pewnym zwolnieniu tempa wzrostu, czy też są zapowiedzią zmian bardziej niebezpiecznych. Opracowany przez ministerstwo handlu kompleksowy indeks podstawowych danych ekonomicznych, który w swym założeniu powinien odzwierciedlać przyszłe tendencje, w lipcu br. zmniejszył się o 0,2 proc., podobnie zresztą jak i w dwóch poprzedzających go miesiącach. Tak przewlekłej serii systematycznego spadku indeksu nie notowano od czasu gwałtownego spadku aktywności ekonomicznej w latach 1974—1975. Jego spadek wywołuje zaniepokojenie wśród wielu ekonomistów, uważają oni bowiem, iż proces rekonstrukcji, po spadku w latach 1974—75, być może, zmierza teraz do powrotu do punktu cyklicznego.

Zmniejszanie się ogólnej objętości zamówień przemysłowych — jak informuje „New York Times” — uważa się za jeszcze jeden fakt wzbudzający niepokój. W lipcu br. portfel zamówień, który opiewał na sumę 108,4 miliarda dolarów, zmniejszył się w porównaniu z czerwcem br. o 3 proc. Tempo przyrostu produkcji przemysłowej zostało zahamowane.

(C)

Liczne komentarze w prasie zachodniej, poświęcone projektowi Konstytucji Związku Radzieckiego świadczą o wielkim międzynarodowym znaczeniu tego dokumentu. Wyrażone w nim normy stosunków międzynarodowych ocenia światowa opinia publiczna jako trwałe fundament rozwoju prawdziwej współpracy międzynarodowej. W projekcie Konstytucji ZSRR narody świata widzą ucieleśnienie ogromnych osiągnięć Kraju Rad w stworzeniu rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, wielki rozmach w udziale szerokiej mas narodu radzieckiego w kierowaniu sprawami państwa.

Międzynarodowego znaczenia projektu Konstytucji ZSRR nie mogła przemilczeć prasa burżuazyjna, chociaż niektóre zachodnie pisma, relacjonując postanowienia radzieckiej Ustawy Zasadniczej, poddają ją odpowiedniej obróbce. Niemniej i te wymuszone komentarze nie mogą pominać szerokiego charakteru praw i swobód gwarantowanych obywatelom radzieckim w projekcie Konstytucji ZSRR. Komentarze te brzmiały szczególnie znacząco w momencie, gdy określone kręgi na Zachodzie usilnie rozdmuchują antyradziecką kampanię w imię „obrony praw człowieka” w krajach socjalistycznych.

Szczególnie wiele uwagi poświęca prasa światowa faktowi włączenia problematyki polityki międzynarodowej do tekstu Ustawy Zasadniczej ZSRR. W rozdziałach poświęconych polityce zagranicznej znajduje odbicie konsekwentna leninowska linia pokoju, utrwalenia bezpieczeństwa narodów i szerokiej, międzynarodowej współpracy. Wielu zagranicznych obserwatorów politycznych z uznaniem podkreśla, iż zasady stosunków Związku Radzieckiego z innymi państwami, znajdujące odbicie w projekcie radzieckiej Ustawy Zasadniczej, zbiegają się z postanowieniami Aktu Końcowego Konferencji w Sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Podkreślają oni także, iż takie podejście państwa radzieckiego do kwestii międzynarodowych świadczy o nierozłączności socjalizmu i pokoju.

A oto, co o projekcie Konstytucji Związku Radzieckiego pisze prasa zachodnia.

„LE MONDE” — PARYŻ

„W celu rozpatrzenia projektu nowej Konstytucji zbierze się 4 października sesja nadzwyczajna Rady Najwyższej ZSRR. Radzieccy komentatorzy nazywają dyskusję i przyjęcie nowej Konstytucji najważniejszym wydarzeniem bieżącego roku w skali świata. Projekt opublikowano i ogólnonarodowa dyskusja nad nim powinna trwać cztery miesiące. Radio i telewizja poświęcają mu codzienne audycje, gazety i periodyki — całe strony na artykuły i listy czytelników.

Według oficjalnych danych do prasy skierowano ponad 750 tysięcy propozycji poprawek. W zakładach pracy odbyło się przeszło 650 tysięcy zebrań, w których wzięło udział kilkadziesiąt milionów osób. Wszystkie propozycje poprawek zgłoszone przez

obywateli radzieckich kieruje się do Komisji Konstytucyjnej.

Przygniatająca większość uczestników tej ogólnonarodowej dyskusji niewątpliwie aprobuje podstawowe postanowienia Konstytucji, ważne zasady politycznej i społecznej organizacji systemu radzieckiego. W wielu listach znajdują odbicie istotne troski ludzi radzieckich, dotyczące ich mieszkani, emerytur czy olaczającego środowiska. Wiele uwagi poświęca się rozdziałowi traktującemu o stosunkach między państwem i jednostką, o prawach i obowiązkach obywateli. Wszyscy uczestnicy dyskusji wyrażają zadowolenie z rozdziałów poświęconych polityce zagranicznej, dotyczących wojny i zawierających postanowienia Aktu Końcowego Konferencji w Helsinkach.”

„TIMES” — LONDYN

„Pojęcie „państwo ogólnonarodowe”, zawarte w projekcie nowej Konstytucji, jest odzwierciedleniem przejściowego okresu między socjalizmem i komunizmem. Z politycznego punktu widzenia oznacza to nadanie for-

nych organizacji jest Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego. KPZR istnieje dla narodu i służy narodowi — podkreśla się w tekście nowej Konstytucji. W dokumencie wymienia się gwarancje wolności słowa, zebrań, religii i innych przywilejów i jednocześnie dodaje się, iż realizacja praw i swobód jest nieodłączna od wykonania przez obywatela jego obowiązków.

W projekcie nowej Konstytucji mówi się szczegółowo o socjalno-ekonomicznych prawach obywateli radzieckich, które stanowią podstawę określenia praw człowieka w Związku Radzieckim: prawo do mieszkania, wykształcenia, pracy, wypoczynku, ochrony zdrowia i materialnego zabezpieczenia starości. W Moskwie projekt Konstytucji, nad którym toczy się dyskusja, spotyka się z szeroką aprobatą radzieckiego społeczeństwa.”

„ASACHI” — TOKIO

„W całości projekt nowej Konstytucji odzwierciedla kardynalną zasadę głoszącą, iż obecnie budownictwo socjalizmu w ZSRR zakończono,

ZACHODNIA PRASA O PROJEKIE KONSTYTUCJI ZSRR

my prawnej obecemu stadium rozwoju społeczeństwa; jednocześnie zakłada to późniejsze historyczne przejście do komunizmu. W nowej Konstytucji ZSRR znajdują odbicie także inne polityczne realia, przede wszystkim wskazuje się na rolę Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Rosnące znaczenie polityki zagranicznej znalazło odbicie w nowym rozdziale poświęconym tej tematyce.

Projekt Konstytucji zawiera szeroki zbiór praw i swobód obywateli. Proponuje się im większe możliwości uczestniczenia w kierowaniu sprawami społeczeństwa, większą uwagę zwraca się na ich opinie, utrwalono ich prawo kwestionowania niezgodnego z prawem działania osób urzędowych. Z drugiej strony urzeczywistnienie tych praw nie powinno zagrażać interesom społeczeństwa i państwa. Przeciwnie, wykonanie swoich obowiązków wobec państwa, włącznie z obroną socjalistycznej ojczyzny i umocnieniem jej potęgi i aurytetu, jest największym obowiązkiem radzieckich obywateli.”

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

„Nowa Konstytucja ZSRR kładzie mocniejszy akcent na rolę partii komunistycznej w politycznym życiu państwa. Przewodnią i kierowniczą siłą społeczeństwa radzieckiego, jądrem jego systemu politycznego, wszystkich państwowych i społecz-

ZSRR osiągnął stadium rozwiniętego socjalizmu, dążąc do społeczeństwa komunistycznego. Jednym z głównych punktów nowej Konstytucji jest rozdział 13, który ustala kontrolę nad wymiarem pracy i spożycia; „od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy”. Wskazuje to wyraźnie, że ZSRR przesunął się na wyższy stopień na drodze do społeczeństwa komunistycznego. Zniesienie zasady „kto nie pracuje — ten nie je” nie oznacza bynajmniej, że wspaniały człowiek radziecki może jeść nie pracując. Nowy projekt konstytucji fakt, że w porównaniu z latami trzydziestymi wzrosło bogactwo ZSRR. Jednakże ZSRR nie osiągnął jeszcze komunizmu, nie jest jeszcze, w pełnym tego słowa znaczeniu, społeczeństwem powszechnego dobrobytu. Żeby osiągnąć cele rozwiniętego komunizmu, radzieckich ludzi czeka jeszcze wiele trudu.

Najważniejszą częścią projektu Konstytucji jest drugi rozdział: „Państwo i jednostka”. Przedstawiono w nim bardzo konkretnie prawa i obowiązki radzieckiego obywatela. W Konstytucji z 1936 roku również głośli się wolność słowa, prasy, zebrań, wieców, lecz w obecnym projekcie postanowienia te są opracowane bardziej precyzyjnie.”

JERZY CZECH

U PRZYJACIOŁ

Zakończyły się I Moskiewskie Międzynarodowe Targi Książki. Prasa światowa podkreśla zgodnie doskonałą organizację ekspozycji gromadzącej ponad 100 tys. książek z 67 krajów, a także odpowiednią atmosferę, jaką towarzyszyła rozmowom na temat rozszerzenia międzynarodowej wymiany najcenniejszych wydawnictw ostatniego okresu.

Propozycja organizowania w Moskwie co dwa lata międzynarodowej wystawy — targów książki spotkała się z gorącym poparciem przedstawicieli wszystkich wielkich firm wydawniczych świata — stwierdził zastępca przewodniczącego Państwowego Komitetu ds. Wydawnictw ZSRR W. Słastienko. — Wbrew opiniiom rozpowszechnianym przez niektórych zachodnich wydawców moskiewska wystawa — targi znakomicie połączyła funkcje propagandowe i handlowe, a dewiza tego forum wydawniczego „Książka w służbie pokoju i postępu”, podkreślająca szlachetne cele, jakim ma służyć słowo drukowane, spotkała się z należytym zrozumieniem zagranicznych uczestników. Przyniosło ono również poważne rezultaty i pod względem komercyjnym. Zjednoczenie „Międzynarodowa Książka” podpisało kontrakty dotyczące kupna i sprzedaży książek łącznej wartości 60 milionów rubli, a Wszczęziwazkowa Agencja Praw Autorskich zawarła blisko 1300 umów na przekłady literatury radzieckiej za granicą oraz literatury obcej w ZSRR. Wymiana wydawnictw wartości wielu milionów rubli zakończyły się rozmowy przeprowadzone z przedstawicielami księgarzy i wydawców z krajów socjalistycznych. Wiele umów eksportowo-importowych zawarto też z firmami m. in. Anglii, USA, Francji, Włoch i innymi. Dzięki wystawie-targom radziecki czytelnik miał okazję do zapoznania się z nowymi książkami wielu zagranicznych autorów.

Wśród polskich wystawców w moskiewskiej imprezie wzięła również udział łódzka oficyna. Opublikowana przez WŁ antologia wierszy radzieckich poetów o Polsce „Jak unieść wierszem twoją chwałę” otrzymała dyplom honorowy Związku Pisarzy ZSRR.

W stolicy Słowacji Bratisławie zorganizowano wielką imprezę z myślą o miłośnikach pięknej książki dziecięcej — VI Biennale Ilustracji. Organizatorem wystawy jest Słowacka Galeria i Czechosłowacki Komitet UNESCO. Wielka liczba uczestników (250 z 33 krajów, 2 tys. nadesłanych prac) świadczy, że bratysławskie Biennale ugruntowało swą pozycję w międzynarodowym życiu artystycznym i cieszy się wysoką renomą wśród przedstawicieli tej gałęzi sztuki na świecie.

Międzynarodowe jury, któremu przewodniczy Horst Künze z NRD. Grand Prix zdobył Ulf Löfgren ze Szwecji, natomiast jedną z nagród „Złotego jabłka” przyznano Marianowi Murawskiemu, a Januszowi Stanememu złotą plaketkę. Oceniając wystawę w słowackim tygodniku „Nowe Slovo” Viera Budská do najciekawszych zalicza ekspozycję polską towarzyszącą głównej wystawie.

Moskiewskie wydawnictwo „Progress” wydaje rocznie ok. 150 tytułów książek w języku rosyjskim i ponad 800 tytułów w kilkudziesięciu innych językach. Pozycje reprezentują różne gatunki — od poezji i prozy po rozprawy filozoficzne, albumy, poradniki językowe itp. Wśród książek wydawanych w języku rosyjskim przeważają przekłady z literatury światowej, przy czym trzecia część przekładów reprezentuje autorów z krajów socjalistycznych.

Wśród tych pozycji spory udział ma również literatura polska. I tak np. w roku bieżącym „Progress” wyda powieść Igora Newerly „Pod frygijską gwiazdą” (nakł. 50 tys. egz.), Marii Kuncewiczowej „Tristan 46” (50 tys. egz.) oraz Jerzego Wawrzaka „Na spotkanie dnia” (nakł. 100 tys. egz.). Wśród przekładów z języka polskiego znalazły się książki o tematyce społecznej, planistycznej, z zakresu polityki zagranicznej i gospodarczej PRL.

Ponad 100 książek polskich pisarzy w nakładzie blisko półtora miliona egzemplarzy wydało w ciągu czterech dni swego istnienia praskie wydawnictwo „Odeon”. Polskie pozycje zostały włączone do wielu serii, m. in. „Biblioteka Klasyków”, „Biblioteka Światowa”, „Współczesna Proza Światowa”. Nakładem „Odeonu” opublikowany został słownik pisarzy polskich. W br. czytelnicy cieszyli się również już wzniesienia „Krzyżaków” i „Konrada Wallenroda” oraz m. in. „Dworzanina” Łukasza Górnickiego tomy opowiadań Prusa i Stanisława Lema oraz „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego.

W. SŁAWSKI

PRZYJEMNE ZASKOCZENIE WRESZCIE W ONZ PIERWSZY KONTAKT

Sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ, o której za chwilę, stała się również okazją do spotkań i rozmów szefa radzieckiej dyplomacji — A. Gromyko z sekretarzem stanu C. Vance i prezydentem J. Carterem. Głównymi tematami tych rozmów były: SALT, Bliski Wschód i konferencja belgradzka. W pierwszym z wymienionych problemów zarysowała się pewna nadzieja. I Gromyko i Vance oświadczyli, że jak wynika z przebiegu konsultacji nowe porozumienie może być szybko osiągnięte. Wypowiedzi te zaskoczyły komentatorów, ponieważ dotychczas uważano, iż nie udało się zapewnić niezbędnego postępu. Coraz głośniejsz mówiono, że ewentualnie zamiast nowego porozumienia może wchodzić w rachubę czasowe przedłużenie obecnego (przypomnijmy — wygasającego 3 października). Najwidoczniej dostownie w ostatnich dniach sytuacja zmieniła się na korzyść, co upoważniło obie strony do optymistycznych oświadczeń.

Drugi temat rozmów — Bliski Wschód był na pewno trudny. Wobec trwałego uporu Izraela — egipt nie

można ustalić terminu wznowienia prac konferencji genewskiej. Jak wiadomo — aktualnie główną przeszkodą jest forma udziału w obradach delegacji palestyńskiej. Ani Gromyko ani Vance nie ujawnili szczegółów rozmów w tym temacie.

Bardziej optymistyczne opinie krążą w związku ze spotkaniem belgradzkim. Waszyngton — jak się wydaje — nie jest zainteresowany piętnowaniem trudności w toku konferencji przedstawicieli 35 państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE. Domniemywa się, że rozmowy radziecko-amerykańskie służą wymianie informacji na temat stanowisk, jakie oba państwa zajmą za kilka dni w Belgradzie.

Po spotkaniu z J. Carterem radziecki minister poinformował dziennikarzy, że w imieniu swego rządu wyraził pragnienie utrzymania z USA dobrych stosunków, a prezydent uznał umocnienie stosunków z ZSRR za konieczność i ważny element polityki Stanów Zjednoczonych. Jest to więc szersze tło dla szczegółowych tematów, jakie omawiane były w Waszyngtonie.

A teraz przejdźmy do rozpoczętej właśnie XXXII sesji Zgromadzenia Ogólnego...

Oczekiwany akordem jej początku było przyjęcie Socjalistycznej Republiki Wietnamu w poczet członków ONZ. Uczestnicy sesji jednogłośnie zaakceptowali list kandydatury i tym samym Wietnam stał się 149 członkiem ONZ. W owej jednogłośnie jest coś symbolicznego, jeśli się zważy, że jeszcze nie tak dawno niektóre państwa odmawiały narodowi wietnamskiemu prawa do decydowania o własnym losie. Teraz zmuszone były oddać swój głos „za”. Czy nie potwierdza to najlepiej, jak musi bankrutować polityka wspierania antynarodowych reżimów i interwencji w ich obronie?

Tegoroczna sesja będzie bardzo pracowita. Wskazuje na to jej porządek dzienny. Jak już pisaliśmy — największe tematy łączy się z problemem rozbrojenia i nowym ładem ekonomicznym. Trzy kwestie podjęte zostaną po raz pierwszy: budowa izraelskich osiedli na okupowanych terytoriach arabskich, procedura zawierania układów wielostronnych i propozycja utworzenia specjalnej komisji, której celem byłoby przestudiowanie zagadnienia niezidentyfikowanych obiektów latających.

Otwarcie sesji poprzedziła konferencja prasowa sekretarza generalnego ONZ — Kurta Waldheima, w czasie której podkreślał on niejednokrotnie,

że na porządku dziennym znajdują się problemy bardzo skomplikowane i niezwykle ważne. Z ogromnego obszaru rozbrojenia szanse na porozumienie ogólne mają: zakaz stosowania broni nuklearnych oraz zakaz stosowania broni chemicznej. Waldheim wyraził przekonanie, że porozumienia te dojdą do skutku w czasie obecnej sesji.

Do porządku międzynarodowych aktualności włączamy jeszcze jeden temat: brukselskie rozmowy „na szczytach” między RWPG a EWG. (RWPG reprezentowana była przez przewodniczącego Komitetu Wykonawczego — M. Marinescu, EWG — przez przewodniczącego Rady Ministrów — H. Simonetla). Był to pierwszy kontakt między obu ugrupowaniami gospodarczymi na tak wysokim szczeblu. Rozmowy mają być kontynuowane w roku przyszłym. Cofnijmy się cztery lata wstecz — do 1973 roku. Wtedy właśnie kraje członkowskie RWPG zapropowały unormowanie stosunków z EWG. Półtora roku temu przedłożyliśmy projekt układu o podstawach wzajemnych stosunków, który m. in. wyklucza jakąkolwiek dyskryminację handlową i przewiduje stosowanie klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Ten właśnie projekt może stanowić podstawę dalszych rozmów.

JERZY WAWRZAK

WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT

W drzwiach ukazała się stara przycięta kobieta. W świetle słabej żarówki ledwo mogłem dostrzec jej małą, pomarszczoną twarz w cieniu chustki tworzącej na głowie daszek jak kornet zakonnicy.

— To pan telefonował, tak? Niech pan wejdzie, pani mecenasowa czeka.

— Weroniko! — dobiegł mnie ze środka głos, w którym wyczuwałem ciekawość — co za ceregiele wyprawiasz z naszym gościem.

„Gościem” pomyślałem, nieźle. Kobieta zapaliła górne światło, uchyliła szerszej drzwi do holu. W drzwiach omal się nie zderzyłem — bez wątpienia — z właścicielką. Pierwsze wrażenie dość dziwne: mogła mieć trzydzieści pięć lat i dwadzieścia więcej, tak była dokładnie otynkowana. Cofnęła się i pozwoliła mi wejść. Uśmiechnęła się do mnie sztucznie, ale nie był to tylko wymuszony grymas.

Salon, inaczej nie mogłem nazwać tego pomieszczenia, był pograżony w półmroku, jakby ściany uciekały w ciemne tło. Odniosłem takie wrażenie, bo paliły się tylko boczne kinkiety, po lewej stronie, gdzie stała kanapa i dwa wysokie fotele; zastawiony do kolacji stół był po prawej stronie oświetlony dwoma wieloramieniami płonącymi świecznikami. Gdzieś pośrodku stał mężczyzna młody, wysoki, jasny blondynek z tepawym wyrazem dziecięco-sterzej twarzy.

— Może tutaj usiadłszy — poprowadziła mnie w stronę kanapy, zatrzymałem się naprzeciw młodego człowieka, mógł być dwa, trzy lata starszy ode mnie.

— To jest Toni, pracuje u mnie — powiedziała mecenasowa.

— Mam na imię Antek — mężczyzna wyciągnął do mnie rękę ignorując sygnalizację do moimi piecami. Od razu poczułem do niego sympatię, że nie wstydzili się swojego patrona.

— Niech pan inżynier spocznie — wskazała manierycznym gestem kanapę — przed kolacją trzeba wypić po małym drinku.

— Kolacja? Narobiłem zamieszania, przeproszam bardzo — wykrztusiłem, ale nie pozwoliła mi dokończyć i podsunęła mahoniowe pudełko z papierosami różnych gatunków — pali pan?

Skorzystałem skwapliwie, podałem jej ogień. Toni — Antoni przecząco pokręcił głową. Zaczęłam mówić o sobie. W tym czasie chłopak jak nakreślony robot, na gest mecenasowej poderwał się do baru, przyniósł kieliszki i tacę pełną różnych trunków.

Czułem się tu dziwnie. Przytłaczał mnie ogrom tego pomieszczenia, dziwne zachowanie Antka, który milczał cały czas jak niemowa, przesadna elegancja mecenasowej i obrzydliwy dostatek wycierający z każdego kąta.

Chciałem jak najszybciej załatwić sprawę, albo nawet nie nie załatwić, byle tylko prysnąć z tego miejsca do swojego baraku. Mogłem jeszcze posiedzieć nad lampką wina w „Malwie”, albo poczytać książkę. Uciec stąd jak najszybciej, nie rozśmiać się w głos.

— Niech się pan nie kępuje, pani inżynierze — szeptała doleważąc do kieliszka, mimo moich protestów — o szczegółach pomówimy jutro. Musi pan zostać na kolacji, zaraz się zaczyna schodzić moi przyjaciele. Musi ich pan poznać, jeśli się pan zdecydował na stałe osiedleć w Kamieńcu... Toni, postuchaliśmy muzyki.

— Nie mogę się na to zgodzić, pani mecenasowo!

— Ależ dlaczego tak oficjalnie, dla pana jestem panią Lucyną. Nie robi pan żadnego kłopotu. Wprost przeciwnie. Będzie pan atrakcją wieczoru, tak nam wszystkim brak przyjemnych niespodzianek... Moi przyja-

ciele będą panu głęboko wdzięczni, że pan przyjął moje zaproszenie. A teraz zobaczy pan swój pokój. Toni, zaprowadź pana inżyniera.

Oniemiałem na takie tempo, ale pani Lucyna już się podniosła. — Dojrzą jeszcze Weroniki, wie pan, stara już jest, trzeba jej pilnować, chociaż swoje potrafi, zobaczy pan, jaka z niej doskonała gospodyni.

Antek skinął mi głową i uśmiechnął się przepaszając, jakby chciał powiedzieć, że nie jest niczym winiem. Poszedłem nadal w tym osłupieniu. Na schodach cicho zachichotałem, ale tak, żeby mój przewodnik nie dosłyszał. Otworzył drzwi, wszedł pierwszy, wychylił głowę, bo zamarudziłem. Dopiero teraz parsknąłem śmiechem. Toni zniknęła, a ja wszedłem za nim do pokoju. Chłopak chichotał, spodobała mu się ta zabawa w chowanego. Pokój był w miarę obszerny, stwarzał wrażenie czegoś pośredniego między sypialnią, a gabinetem. Dobre miejsce do pracy i odpoczynku, tylko trochę na czynnym wulkanie, jeśli by fantazjować o temperance pani Lucyny.

— Co ty tu robisz, chłopcze — zapytałem konspiracyjnie, szeptem. Ubdurałem coś sobie i podjąłem wymyśloną rolę. Jakbym się znalazł w czerwonobiałej obojętnej mieszczańskim domku z ogródkiem. — Pracuję w ogrodzie, umiem prowadzić samochód... Bardzo dobrze umiem prowadzić samochód! — powtórzył z przejęciem — i w szklarni pomagam — dodał już bez entuzjazmu — w sezonie pani Lucyna każe mi siedzieć w szklarni całymi dniami. Jak są pomidory, ogórki i chrzanami na Wszystkich Świętych.

Westchnąłem głęboko, z zadróżką. Jak można schować się przed życiem, każdego ranka wstawać z łóżka bez specjalnego powodu, spokojnie patrzeć w niebo, zawsze jednakowo przyjazne bez względu na pogodę.

— Jest tu łaźnia? — Pokazał, była dwa kroki obok, ogromna, wyłożona ceramicznymi kafelkami — spojrzalem w lustro i zacząłem historycznie śmiać się ze swojej miny. Potem opukałem twarz wodą ciepłą i zimną na przemian. Przyczesałem dosyć niesforne włosy, mrugnąłem do siebie: nie wypadają z roli, stary, czekają tu na ciebie same miłe niespodzianki.

Zszedłem na piętro. Z dołu dobiegały mi chaotyczne podniesione głosy, śmiechy i przekomarzenia. Stałem tak chwilę na tych krętych schodach, aż do momentu, kiedy poczułem dłoń na swoim ramieniu. Odwróciłem się, prawdziwie przestraszony. Antek spłoszonym wzrokiem patrzył w tym samym kierunku. Stał obok mnie opierając się o moje ramie.

— Idziemy, Antoś — zdjąłem jego dłoń z ramienia. Podjemy sobie smacznych rzeczy i popijemy dobrej wódki. Głowa do góry. Nie bój się, przeze mnie mecenasowa nie wypędzi cię ze szklarni.

Usiedliśmy do stołu. Nie czułem się specjalnie onieśmiewiony, chociaż uwaga całego towarzystwa była skierowana na mnie. Byłem tu obcy, ale nie wzbudzałem nieufności. Rekomendacja mecenasowej była wystarczającą gwarancją, by uważać mnie za swojego. „Ojciec — podsumowała — inżyniera Wadasa i mój mąż przyjaźnili się na studiach”. Omal nie udlawilem się karpim w galarecie, ale nikt tego nie zauważył. Nie miałem pretensji o ten niewinny żart.

Goście mojej przyszłej gospodyni byli, jak na razie nieciekawymi. Adwokat z żoną, czyli państwo Zarnecky. Lekarz, tytułowany panem doktorem Kaniewskim, a przez żonę siedzącą po lewej stronie nazywany Tadzikiem, ich córka Małgorzata, studentka na urlopie dziekańskim. I pan Wacław, a raczej odwrotnie pani Sabina z panem Wacławem, bo ona głowa była nie tylko głową nad skro-

mym urzędnikiem, ale faktycznie kierowała stadem i interesem: hodowała nutrii, zapisaną na jej nazwisko. Dość długo panował spokój. Padaly oczywiście jakieś banalne odzywki, głupe żarciki, ale głównie komplementowano gospodynię, która skromnie przerzucała zasługi na Weronikę krążącą z cierpiętniczą miną między kuchnią a salonem. Jedzenie było rzeczywiście wyśmienite, mimo obłudnych narzekan mecenasowej na zaopatrzenie. W życiu nie widziałem tyle tego na jednym stole, takim obfitości i różnorodności. Rozumiałem już, skąd bliźni mają pieniądze. Nie wzbudzało to we mnie żadnych uczuć: jak zazdrość, niezdrowa chęć rywalizacji. Staralem się do kwitować wzruszeniem ramion, nawet nie wmaśniać sobie, że jest to coś poniżej godności człowieka żyjącego w tym kraju, że jestem kimś lepszym, mającym poprzez swoje ubóstwo prawo do dumy. Ani tak, ani siak. Po prostu, było to poza mną. Nie przyjmowałem tych faktów do wiadomości.

Dziś uczestniczyłem w zabawie. W swoim wyjątkowym garniturze byłem kimś zabrany, dostrojonym do konwencji stołu, jedynie z czujnym chochlikiem w środku.

Podsiemniałem się więc z siebie, z całego towarzystwa i cynicznie korzystałem z sytuacji, której nawet nie potrafili przed dwoma godzinami wymyślić. Po paru kieliszkach szumiało mi już trochę w głowie, rozpowa wydała mi się już bardziej interesująca, a siedzący przy stole mniej stywni i obcy. Studentka demonstracyjnie odepłała na początku, nie wyglądała mi już na znużoną pannicę, wymieniliśmy kilka złotych spojrzeń, ale jej matka i mecenasowa miały oko na wszystko. Zartobliwie skarcony zacząłem bawić rozmową moją sąsiadką z lewej. Ponieważ pani Sabina nikt nie chciał słuchać znając zapewne na pamięć wysłużony repertuar, nie uniknąłem fachowego wykładu o hodowli tych wstępnych gryzoni, z których futuro było niespełnionym marzeniem całego życia mojej matki. Była wniebowzięta, kiedy zadawałem jej pytania i zaraz dostąpiłem zaszczytu zaproszenia na zwiedzenie hodowli. Przywołana jednak do porządku przez doktorową, która w tym momencie zrobiła minę, jakby miała wybiec do łaźni, zamilkła przepaszając; dobita ponadto męzowskim: a nie mówiliśmy!

Chwilę konsternacji wykorzystał mecenas Zarnecki, by zreferować prowadzoną sprawę. Zarnecki bronił magazyniera, który kupował po gesach kokuchy i ortallony, a robotnikom wydawał zwykłe waciaki, różnicę w cenie zgarniając dla siebie. Miało to być cholernie dowcipne, oryginalne. Słuchajcie moi złoci, jaki to nasz narodek pomysłowy, zaradny, ile sprytu na każdym kroku i przedsiębiorczości. I na koniec dykteryjki zagadka wywołująca przez chwilę wesołą zabawę. Bezbiednie trafiła pani Lucyna, co mnie nie dziwiło, jako że miała wieloletnią praktykę przy boku męża. Oczywiście teraz to takie proste, jak się wie. Dlaczego się wydało? Ktoś z kierownictwa zakładu niezbyt nawet ważny, upominał się bezskutecznie o swoją dół, aż w nerwach wysmarował anoniem.

Czekałem teraz na jakąś dyrdymałę szpitalną, ale te moje zdolności i przewidywania „zawiodły”. Zamiast doktora Kaniewskiego temat podjęła jego pulchna połowica. „Wyobraźcie sobie moi kochani, że ten nowy przewodniczący, jak mu tam, takie dziwne nazwisko, Dylk, odmówił propozycji na kolację. Jakis prymitywny osobnik, nie sądzić”. Matuszewski to był uroczy człowiek — zmieszala się na moment, ale z opresji wyratował ją siedzący obok pan Wacław. Ktoś ważny z wydziału finansowego

powiatowej rady. „Ten miał leć — powiedział z uznaniem — chociaż nie zawsze na własnych nogach holował do domu”. Towarzyski był człowiek i ludzki — włączył się wreszcie doktor — nie czeptał się jak ten, zaraza jedna. Wiecie w co nas chce wrobić? Powiedz Wacek, czy podatki za prywatną praktykę są zaniżone? — Sapał z ciężkim oburzeniem, mimo unizonego protestu urzędnika od finansów.

Nie dowiedziałem się dalszych szczegółów o łobuzerstwie przewodniczącego, gdyż pani domu znalazła się na wysokości zadania. Stanowczo zaprotestowała przeciwko poruszaniu przykrych tematów. „Spotkaliśmy się, żeby bawić się i porozmawiać o rzeczach przyjemnych”. I kazała Antkowi nastawić muzykę, a nas zapędziła do koniaku. Wypiłem kieliszek duszkiem, jak to u nas robiono z czystością i poszedłem pomóc Toniemu-Antoniemu w wyborze repertuaru.

Pani Lucyna za wolnymi przepadła — powiedział wskazując głową na kręcącą się płytę z jakimś tangiem, czy siołoxem, nie bardzo już odróżniałem subtelności rytmu. — Miało być wesoło — na uruchomiony krążek nałożyłem płytę z jazzowym kawałkiem, nagraniem wprost z koncertu, bo melodie przerywały oklaski. Spodobało się to studentce, bo momentalnie do nas podfrunęła i poprosiła mnie do tańca. Byłem w tym nieźle przez Elizę i jej koleżanki przeszkolony, ale serdecznie nie nawidziłem robienia z siebie widowiska. Łagodnie próbowałem jej wyperswadować ten pomysł, mimo iż kurczowo uciepała się mojego ramienia.

— Łamiesz się, stary? — zapytała i wybuchnęła śmiechem, którego na szczęście tamci nie słyszeli — pohasamy trochę, to dobrze robi na trawienie.

— Może Toni... — szukałem wybaczenia, ale nic mi to nie pomogło. Wyciągnęła mnie spod rozłożystej palmy na parkiet. Przywitani zostaliśmy śmiechem i oklaskami. Było mi już wszystko jedno, kiedy zaczęliśmy tańczyć. Na szczęście szybko stracono zainteresowanie naszymi popisami, przy stole poszedł kolejny toast, a po nim adwokat wyciągnął gospodynię na środek salonu. Kryowała się podobnie jak ja przed chwilą, ale widać było, że jest zadowolona wyróżnieniem, jakie ją spotkało.

Zdziwiło mnie, że dziewczyna milczy. Wczepiona we mnie, nacierała udami, czułem ciepło jej oddechu na policzku, ostre paznokcie wrzynające się w kark. Zagadnąłem ją pierwszy, już nie bardzo się kontrolując.

— Co studiujesz? — Nie gładź — mruknęła przymykając oczy — dobrze jest tak. Chociaż chwila wytchnienia od tej cholerniej paplaniny... Nie złość się, chłopcze. Znajdziesz mnie, jak ci będzie potrzebna...

I nagle odżyła się, jak obudzona z tego półsnu. — Co cię tu przyniosło, człowieku. Podobno jesteś inżynierem.

— Podobno — mruknąłem, niemiele tym dotknięty. Bóg wie dlaczego, bo guzik mi zależało na gadaniu jakiegoś tam dziewuszyska.

— I czego tu szukasz, frajerze — zatrzymał mi się na moment, to chyba ja przystanąłem na znak protestu, ale przycisnęła się jeszcze mocniej do mnie i już mniej obcesowo cedziła mi do ucha — Nie gniewaj się, synu, ale szkoda mi cię. Kamieniec to cementarzysko takich ludzi jak oni. Kto na trochę oleju w głowie rwie w świat. Jak najdalej od tego zaplutego miasteczka. Tu ani szczęścia nie znajdziesz, ani kariery nie zrobisz.

— Szczęście już znalazłem — zaśmiałem się swobodnie — mam żonę. — Nie szkodzi! — uśmiechnęła się. Skończyła się płyta. Dziewczyna nadal nie chciała mnie puścić. Pokazała tylko głowę Antkowi, co ma robić, ale wybaczyła mi mecenasowa, ingerując z bezzębny wyczuć.

— Ależ Małgosiu — zaprotestowała — nam się też coś od życia należy. Teraz pan inżynier zatańczy ze mną, a potem... — wskazała na stół skąd przyglądało się nam całe towarzystwo.

— W porządku, dziewczęta — powiedziała Małgorzata, poprawiła włosy i zataczając się lekko wróciła do stołu.

— Niech pan na nią uważa, mój chłopcze — zaśmiała się mecenasowa i natarla na mnie piersiami — w tym wieku kobiety są najmniej odpowiedzialne. Co innego... — zamilkła skromnie. — Nie żałuje pan, że go zatrzymałam na kolacji?

— Ależ to wielkie przyjęcie, z taczami.

— Musimy jakoś żyć w tym Kamieńcu. Niewiele z tego życia mamy, a czas ucieka. Ot, takie namiaszki, półtorodki. Widzi pan — wszyscy pielęgnujemy swoje złudzenia. Ławiej nam wtedy tu wytrzymać, nie buntujemy się... Zresztą wszędzie jednakowo. Kiedyś — westchnęła i nagle posmutniała. — Nieważne co

było kiedyś, prawda? Nawet się nie da tego opisać, wyszedby okropny banał. Bo młodość, miłość są właśnie okrutnie banalne. Nie wierzy pan? Teraz ma pan prawo nie wierzyć. Ale przyjdzie czas...

Łagodnie odsunąłem ją od siebie, by złapać trochę powietrza. Tańczyliśmy razem w milczeniu, aż do końca płyty, za co byłem jej niewymownie wdzięczny. Te słowa nie we mnie nie poruszyły, ale jakbym ją inaczej zobaczył: starzejąca się gwałtownie kobieta, po czterdziestce, niezłe sytuowana, czeplająca się rozpaczywie, tego co nazywamy życiem. Świadoma tego faktu, ale ze straceńczym uporem nie poddająca się.

Nie wróciła na swoje miejsce. Wyszli z Antkiem do kuchni dopilnować kawy i deseru. Usiadłem za stołem i nalałem sobie koniaku, jakbym chciał z siebie spuścić te wszystkie uściski, oddechy i spojżenia obu kobiet. Zetrzeć wrażenie słów, które nakłuwały pancerz, w jakim zasiadłem do uczy. Uniosłem kieliszek i w tej chwili naprzeciw niego znalazł się kieliszek sąsiada z przeciwka, kostycznego urzędnika od finansów, któremu brakowało tylko zarekawków. Stuknęliśmy się mocno.

— To pan pracuje u dyrektora Wrzosa — powiedział takim tonem, jakby opowiadał dowcip, a kiedy przytaknąłem, dodał: toś pan ładnie trafił — znowu chrząknął znacząco, co już mnie zdenerwowało. — Nie wiem, jak się panu powiodło w Łodzi, aleś pan naprawdę trafił z deszczu pod rynnę — zachichotał, chyba na znak, że to pointa całego wywodu.

Przetarłem dłońią twarz. Czulem jak płoną mi policzki, wilgotnieją. Przekroczyłem swoją normę. Jeszcze nie tak by zsunąć się pod stół, ale w skroniach pulsował mi ostrzegawczy brzęczek: dosyć.

Weszły do pokoju mecenasowa i Weronika z tacami, na których dwoma kawa: Toni niósł tort trzymając go oburącz z napięciem w twarzy, jakby to było cenne, kruche trofeum. Korzystając z zamieszania wzięłem filiżankę ze spodeczkiem i wymknąłem się na werandę. Kawę podano w najpotrzebniejszym dla mnie momencie. Zapaliłem papierosa. Noc była ciepła, pochmurna, ogród zalewał fają zapachów. Czulem się dziwnie. W chwili nie tylko wychylenia od tej gromadki natrętów, tak niewymownie obcych mi ludzi — zakiełkowało we mnie niepokój. Ta noc, alkohol, konieczność powrotu, wywołały małą panikę. Co ja właściwie tutaj robię? Dlaczego tych ludzi toleruję, więcej, bratam się z nimi w jakiś sposób. Dlaczego stąd nie ucieknę, by z daleka omijać ten i podobne mu domy.

I tak narastała we mnie ta irracjonalna ochota na ucieczkę. Na natychmiastowy powrót w znane bezpieczne miejsce, przed zakusami, które zaledwie przeczuwałem. Przecież dlatego wyniosłem się z Łodzi mimo protestów i tez Elizy. Dlatego tam nie skorzystałem z szansy, która zwykle ludziom mojego pokroju może się tylko przysniść. Przecież to jest dreptanie w kółko, obiedne krążenie wokół tego samego punktu odniesienia.

Odstawiłem filiżankę na balustradę. Zgasilem papierosa i skozyłem w ciemności ogródka na żwirowy podjazd. Zle ocenilem odległość, było wyższe niż sądziłem i wyciągnąłem się jak długi. Zapiekła mnie skóra na rękach, z bólu nie czulem prawego kolana. Zakląłem głośno.

— Na zdrowie — doleciał mi kobiecy głos. Małgorzata zbiegła schodami, okrążyła mnie i pomogła mi wstać. Otrzeptywałem się dość długo i starannie, a ona w milczeniu i cierpliwie przyglądała mi się, jakby to było na scenie teatryku ogródkowego, a ona czekała na swoją kwestię. Nie wiedziałem co dalej ze sobą robić. Frytowało to jej świadkowanie, a może bardziej milczenie. Sam z siebie nie mogłem wydusić ani słowa.

— Chodź, pobiegamy po ogrodzie — wzięła mnie mocno za rękę. — Zwiariowałaś?! — syknąłem wściekły tamtym upadkiem, który mnie nie tylko zatrzymał, ale znowu w coś uwikłał.

— Głuptasie — szepnęła — tam jest altana.

Poprowadziła mnie trzymając za rękę, utykałem, szurając gretskowo na pół stywną nogą, ale nie stawiałem oporu. Chciało mi się już serdecznie śmiać z samego siebie, z całego świata, który istniał gdzieś bardzo daleko, nieważny zupełnie, miłki i nieokreślony na mój rozmiar, człowieka, który miał dopiero wszystko do zdobycia. Tak zawsze po alkoholu popadałem w skrajność, śmiech zastępował gorzki grymas, rozbawienie atawistyczny poploch.

Ostatnie metry przebiegliśmy. Skrzydełka drzwi były uchylone, ciemno wewnątrz wchłonęło nas jak miękka zastona.

(C.d.n.)

WYPISY ŁÓDZKIE

STEFAN GORSKI

ŁÓDŹ SPÓŁCZESNA [1900]

MIASTO

W Łodzi uderza brak systemu zabudowy jakby jakiś...

Wygląd europejski miasta zaczyna się od Piotrkowskiej...

Na znacznej części Piotrkowskiej widzi się bruki drewniane...

Ruch przechodniów w mieście ma codziennie kilka faz...

Najstarsze i najbardziej łódzkie, jest towarzystwo strzeleckie...

Sklepy tak wspaniałe jak choćby w Warszawie — Łódź posiada niewiele...

W ogrodach publicznych, nawet dla „osób przyzwyczajonych ubrań”...

W urzędzeniach mieszkalnych w ogóle lubią bogaci łodzianie wykwint i jaskrawo bijące...

Żyć przycięta ruch uliczny. Po mieście widać się tylko żadni kursu dorożkarze...

ŻYCIE TOWARZYSKIE. Z niemałym nakładem staraj i pieniędzy urządzane są bale karnawałowe...

szersza publiczność możność przyjrzenia się potentatom przemysłowym...

Na sztuce zna się Łódź bardzo mało. Kiedy jednak zawta do miasta jakaś gwiazda europejska...

Wieczorami, w chwilach wojnych od zajęć przemysłowych chętniej niż sztuką „zabawiają się kartami”...

Sport też nie ma rolę odgrywa w życiu towarzyskim łodzi. Piękną konie, placówkę...

Najstarsze i najbardziej łódzkie, jest towarzystwo strzeleckie...

„Dużą atrakcją w życiu towarzyskim robotników miejscowych są wesela”...

ETYKA, MÓRALNOŚĆ, OSWIATA I SZKOLNICTWO. Łódź rozwijająca się szybko nie stworzyła kultury przemysłowej...

Kiedy zle czasu dla przemysłowców łódzkich nastawiali — straża ogniowe były ciągle czynne...

Prawodawca ukrócił dziś szanse wzbogacenia się na pożyczkach — zabronił asekurować...

Na naszej ziemi Łódź jest stolicą oszustwa i nadużyć. W stosunkach handlowych jeden „pochodzi” drugiego...

W Łodzi uderza brak systemu zabudowy jakby jakiś...

BUDŻETY ROBOTNICZE

Dr J. Michalski ogłosił „budżet rodziny robotniczej w Łodzi”...

Wydają na: mieszkanie 1 rub. 05 kop. chleb 1 rub. 05 kop. 1/4 korca ziemniaków 45 kop.

W sumie — wydatki na życie i mieszkanie wynoszą 5 rub. 29 kop.

Menu robotniczej rodziny: Śniadanie 5-osobowej rodziny: 2 szklanki kawy i 3/4 funta chleba...

Obiady: barszcz z kartoflami albo zupa kartoflana, albo zacierki na wodzie zalewane makiem i chleb...

Kolacje — resztki z obiadu lub kawa z chlebem.

Według zestawienia sporządzonego przez dra Goldmana, rodzina składająca się z 6 osób zarabia 7 rubli tygodniowo...

Na robotnikach łódzkich znać pewną nerwowość kości znaczącej bardziej uwidaczniającej się niż u robotników rolnych...

HIGIENA I ZDROWOŚĆ. Łódź jest jedynym w Europie miastem, które o podobnej skali ludności nie posiada ani kanalizacji...

W mieście pozbawionym kanalizacji ścieki odprowadzane są rynsztokami i rowami miejskimi...

W powieściach stosunki mieszczańskie uwiecznił chwilowo w Łodzi bawiący Władysław Reymont w rozgłoszonej „Ziemi Obiecanej”...

Nie miejsce tu na prostowanie błędnych wniosków, jakie czytelnik powieści Reymonta musiał osiągnąć przez podanie niedokładnych przesłanek...

W roku 1904 Stefan Gorski wydał zbiór szkiców pod tytułem „Łódź Spółczesna”...

W 1904 r. Gorski przerosł się do „Tędnika Piotrkowskiego”...

Cechę poezji, cechą piękną w tym wielkim potworze fabryki i pracy odnalazł „łódzki Bera”...

Wybór i red.: H. RUDNICKI



GALĄZKA DYMU...

„W gałązce dymu, w ognia blasku...” — cyt. z wiersza Tadeusza Gajcego...

zostawili też po sobie kilka tomików wierszy, teksty i melodie piosenek...

Zginęli zamordowani przez okupanta lub poległ na barykadach Powstania Warszawskiego...

Od tamtych lat upłynęło wiele czasu, dziś otrzymujemy w miarę pełny zapis tamtych dni...

Wielka walka o wolność toczyła się w okupacyjną noc wszędzie, na wszystkich frontach...

„W gałązce dymu, w ognia blasku...” — Wyd. PAX, cena 10 zł

DACZA ZA MIASTEM

Moda na domki rekreacyjne rozpoczęła się w Polsce już przed paroma laty...

Wychodzący naprzeciw tym potrzebom, „Wydawnictwo „Arkady” opublikowało interesującą książkę...

Jerzy Mokrzeński — „Domki rekreacyjne”, Wyd. „Arkady”, cena 40 zł

PRZYRODA MOWY POLSKIEJ

Kazimierz Nitsch (1874-1958) nosił niemiecko brzmiące nazwisko, należał bowiem do grona owych wybitnych Polaków...

Dwa lata po śmierci Profesora ukazał się tom Jego wspomnień, obecnie towarzysząca mu praca Anieli Gruszeckiej-Nitschowej...

Aniela Gruszecka-Nitschowa — „Całe życie nad przyrodą mowy polskiej”, Wyd. Literackie, cena 60 zł

SERIA POETYCKA PIW

Tomiki poezji coraz częściej ukazują się w seriach wydawniczych...

W nowej serii ukazał się tom wierszy Artura Miedzyrzeckiego „Wygnanie do rymu”...

Artur Miedzyrzecki — „Wygnanie do rymu”, PIW, cena 20 zł

Jerzy Hordyński — „Epitafium dla kota”, PIW, cena 20 zł

Ewa Filipczuk — „Gra”, PIW, cena 20 zł

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

MIEJSCE NA ZIEMI

„Każdy ma swoje miejsce ulubione w dziecinństwie. To jest ojczyzna duszy” — napisał w „Przedwiośni” Stefan Żeromski. Ojczyzną duszy pisarstwa Ludwika B. Grzeniewskiego jest Warszawa.

„Wspominam ludzi, zwierzęta i syfon ubogi na Pradze — wspominam syfon na Pradze” — wspomina syfon na Pradze.

Wystarczy, żebym przeczytał i zamknął oczy. Znowu mam osiem, może dziewięć lat. Ja le tramwajem od Krakowskiego Przedmieścia spadziwym waduktem Pancera — ponad marienstacckim rynkiem i zamkowymi ogrodami — na most Kierbedzia...

Tak rozpoczyna się tom szkiców warszawskich Ludwika B. Grzeniewskiego, jednego z nie-

licznych już dziś prawdziwych warszawskich pisarzy. Jest bowiem Grzeniewski pisarzem Warszawy a nie Warszawa-ki.

„Miejsce na ziemi” jest rozszerzonym wznowieniem szkiców wydanych przed siedmiu laty, książki o której wówczas Paweł Hertz pisał, że odznacza się nie tak znów częstą kulturą słowa, świadomością i powściągliwością stylu, umiejętność posługiwania się cytata-ami a nade wszystko umiarem i powagą w traktowaniu spraw historii, cywilizacji i literatury, które dla Grzeniewskiego stanowią niepodzielną całość.

Ta książka, w istocie urzekła nie tylko atmosferą, nastrojem i refleksją, ale właśnie niespotykaną kulturą słowa i pięknem języka. To rzadka dziś umiejętność, gdy króluje albo pseu-

donaukowy bełkot, albo preten-sjonalny slang.

„Tworzenie pięknej prozy jest trudniejsze i wymaga więcej czasu niż zbieranie dat i faktów” — przypomina Grzeniewski zdanie z „Alchemii słowa”. Jego książka jest jednak podwójnie cenna, bowiem opisana piękna prozą, zawiera ogromną sumę pasjonujących informacji o starej i nowej Warszawie, o ludziach, domach, ulicach, wierszach.

Właśnie o wierszach. Pisze Grzeniewski: „Jestem poezji odbiorcą. Nie bywam poezji krytykiem ani recenzentem. Nie czytam wierszy jako zawodow-iec. Poezja jest sprawą prywatną (...). Poezja — raczej jej część — spełnia w moim życiu indywidualną rolę szczególną”.

Szczególną też rolę pełni poe-

zja w tej urzekającej książce o Warszawie.

„Gdy o ojczyźnie mojej
myślę —
Myślę: Aleje, Zjazd,
Powiśle,
Nie las, nie łąka, nie łan
zboża
Lecz Krzywe Koło, Wspólna,
Hoża”

Nie są to być może najwybitniejsze strofy o Warszawie, ale przecież są to strofy najczęściej pamiętane. I o tej pamięci pisze także Grzeniewski stwie-dzając: „w tym pamiętam tkwi sedno sprawy”. Bowiem — „kultura jest to, co pozostaje w umyśle, gdy wszystko zostało zapomniane”. Można by podobnie powiedzieć o poezji.

Wrzesień jest, jak wiadomo, miesiącem Warszawy. Ale do Warszawy należy nie tylko ten jeden miesiąc, lecz siedem wieków istnienia i cztery wieki poezji. Urzekająca książka Ludwika B. Grzeniewskiego jest w tym pięknym ciągu pozycją niezwykle znaczącą.

WIDOK

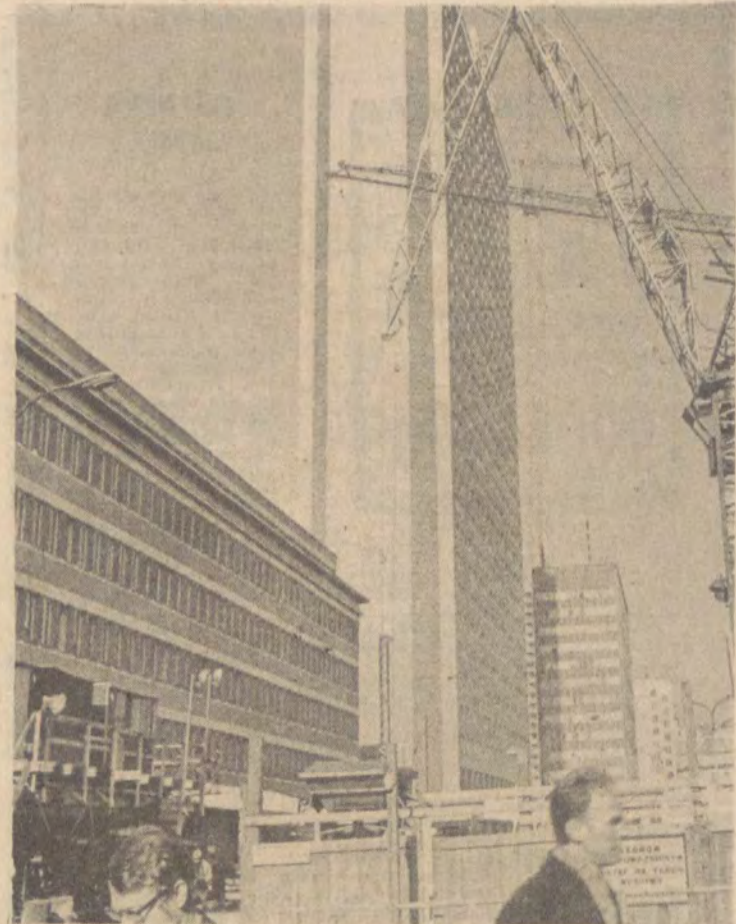


Foto: W. Parys

LEWYM OKIEM

ŚMIECH I WZRUSZENIE

W pewnym sierpniowym numerze „Kultury” Hamilton wygłasza taki aforyzm: „Powiadam wam, nie można się wywrzeszczyć. Nie ma gdzie. Skutek ten, że wszyscy na wszystkich warszaw — po cichutku, ale jakże jadowicie. Albo kłają się milczeniem. A jakby była wrzeszczalnia, wszedliby sobie na pięć minut za pięć złotych. Wywrzeszczal się. I potem już cały dzień dobry dla ludzi, na ustach śmiech jak słońce, w oczach wzrok miękki jak atlas”.

Parę wierszy niżej na tejże stronie pisma Malachowski dotewa: „Mieliśmy (w Kaczym Dole, czyli Międzylesiu) skarb największy w dzisiejszym uprzemysłowionym i zurbanizowanym świecie: doskonałą ciszę”. A dalej czytamy, że ten ciszy już nie ma i jak szkoda, że nie ma. Zniszczyła ją inwazja miejskich urzędów — tramwajów, samochodów. Nie ma ciszy.

Widocznie w Międzylesiu nikt nikogo milczeniem nie kasał, skoro ludzie tamtejsi nie pomyśleli o wrzeszczalni i dobrze im było bez niej. Teraz zapewne lepiej poczują się ci, którzy mogą sobie wrze-

szczeć do woli, bo i tak tramwaje jak gorset awiera. Przecież istnie- nie domów publicznych uzasadnio- no między innymi tym, żeby fa- cet mógł się tam wyswintuszyć, a potem włożyć na powrót gorset „moralności” i paradować w nim pomiędzy porządnymi ludźmi. W powieści Kästnera „Fabian”, dzie- jącej się w tej samej epoce co

filmowy „Kabaret”, a więc w Ber- linie lat dwudziestych, jest taki nocny lokal, którego atrakcją jest zwyczaj wzajemnego obrażania się obelgami. „Wie pan, co pan jeste- ś? Idiota!” — woła konferan- sier do jednego z gości. „Przym- knij się, bo ci żęby dwójkami powypadają!” — ryknął ktoś in- ny. „Powiedz pan swojej żonie, żeby trzymała gębę na kłódkę!” — darsi się jeszcze inny bywalec. A potem płacili słone rachunki i odbierali w szatni wytworne okry- cia. To było właśnie coś w rodzaju wrzeszczalni Hamiltona. Czyli znów się okazuje: nic nowego pod słońcem.

Tylko, że tamci wychodzili z to- kalu w nocną ciszę, a my możemy tylko z jednego wrzeszczu wejść w drugi. Możemy się zdemerować i w złodziej grzeć sobie palce. W mo- ment potem zaczniemy grzeć bli- żnich, powarkując z cicha, czego nikt przecież nie zauważy. Cały wysiłek indywidualnego wrzeszcze- nia na nic.

Tak to sobie hafluje felletonowo, czyli co ślina na język, żeby wrze- szcze wyjść na oczywisty morał:

Tylko, że tamci wychodzili z to- kalu w nocną ciszę, a my możemy tylko z jednego wrzeszczu wejść w drugi. Możemy się zdemerować i w złodziej grzeć sobie palce. W mo- ment potem zaczniemy grzeć bli- żnich, powarkując z cicha, czego nikt przecież nie zauważy. Cały wysiłek indywidualnego wrzeszcze- nia na nic.

Tak to sobie hafluje felletonowo, czyli co ślina na język, żeby wrze- szcze wyjść na oczywisty morał:

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CZyste KARTKI

Powrót z wakacji bywa cza- sami zaskakujący. Tym razem zaskoczył mnie jeden z moich przyjaciół, który czekał na mnie ze sporą paczką książek. Ucieszyłem się nawet na jego widok, bo pomyślałem sobie, że stęsknił się człowiek za czło- wiekiem, że bywam czasem komuś potrzebny, a to już wiele. Byłem mu więc potrzebny, to nie ulegało wątpliwości, tylko w jakim celu.

— Ty się gdzieś tam wczasu- jesz w zimnie i deszczu, a tu dzieje się skandale — powie- dział z gniewem w głosie.

— Jakże? — ucieszyłem się, bo kto z nas nie lubi skandali, które na dodatek jego nie doty- czą.

— Bezcelne skandale — po- wiedział mój przyjaciel. — Wy- obraź sobie, kupiłem parę ksią- żek.

To było istotne wydarzenie, bo mój przyjaciel choć uchod- dził za intelektualistę kupować książki bardzo nie lubił, poży- czał natomiast dość chętnie i później nie oddawał, skąd też ubierała mu się dość okazała biblioteczka.

— Gratuluję — powiedziałem.

— Komu?
— Tobie
— A czego?
— Pomyślnych zakupów.
— Otóż to! One wcale nie były pomyślne.
— Jak to? A ta sterta ksią-

żek, którą trzymasz pod pachą. — Masz! — mój przyjaciel położył książki na stole. — O- bejrzyj je sobie!

Obejrzałem i oto wyniki tych oglądań.

▲ W książce Kazimierza Mo- czarskiego „ROZMOWY Z KA- TEM”, wydanej przez PIW, a drukowanej WROCŁAWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE — ZAKŁAD GŁÓWNY brakuje między innymi tekstu na stro- nach: 416, 420, 421, 424, 425, 432, 433, 436, 437, 440, 441, 444, 445. Z tego można wnosić że po prostu brakuje jednego ar- kusza drukarskiego. Książka ta kosztuje 80 złotych za egzem- plarz.

▲ Podobne braki znalazłem w książce Karola Estreichera „HISTORIA SZTUKI W ZA- RYSIE”, wydanej przez PWN, a drukowanej w DRUKARNI NARODOWEJ w KRAKOWIE w ZAKŁADZIE NR 1. W książce tej brakowało tekstu na stronach: 34, 35, 38, 39, 42, 43, 46, 47. Przez co cały początek bardzo — bądź co bądź — ważnej i potrzebnej książki tracił jakikolwiek sens. A książka ta kosztuje 150 złotych za egzemplarz.

Przyznam się szczerze, że nie wiedziałem, iż mój przyjaciel interesuje się sportem. Ale le- żała przede mną książka Józefa Halysa „POLSKA PIŁKA NOŻNA”, wydana przez bardzo operatywny KAW, a druko-

wana przez DRUKARNIĘ NA- RODOWĄ w Krakowie ZA- KŁAD NR 6.

▲ W książce tej brakowało stron: 546, 547, 550, 551, 553, 554 i 558, 559. A właściwie strony te były, tylko czyste, białe, nie skalane drukiem. Książka kosztowała 180 złotych. „PRZEMIEŃLO Z WIA- TREM” Margaret Mitchel za- powiadano już dawno, ale ukaza- nie się tej książki poprzedzo- no było plotkami, że cały nakład zginął, że wycofano go z księgarń, że coś tam jeszcze. W każdym razie rezultat jest taki, że książki w księgarniach nie uświadczyz, a skąd ją zdobył mój przyjaciel, tego nie wiem, a on nie chciał powiedzieć.

▲ „PRZEMIEŃLO Z WIA- TREM” Margaret Mitchel wy- dał „Czytelnik”, a drukowały te książki ŁÓDZKIE ZAKŁA- DY GRAFICZNE — ZAKŁAD NR 1, Łódź, ul. Rewolucji 1905 roku nr 45. W drugim tomie tej książki po stronie 96 nastę- puje ponownie strona 65 i tak kolejno biegnie ten sam tekst jeszcze raz aż do strony 129, ale dzięki temu brakuje w tym egzemplarzu stron od 97 do 128. Cena obu tomów wynosi 120 złotych.

Zgadnam się z moim przyja- cielem, że to jest skandal. Wy- starczy tylko podsumować ceny tych książek, a okaże się, że mój przyjaciel został oszukany przez „DOM KSIĄŻKI” na sumę

530 złotych, gdyż „DOM KSIĄŻKI” przyjął do sprzeda- ży braki i sprzedał je kliento- wi. Rozumiem, że ani pracow- nicy „DOMU KSIĄŻKI”, ani drukarnie nie są w stanie kon- trolować każdego egzempla- rza książki, ale też jakiś system kanaria za brakorobstwo i sys- tem przeciwdziałania jest oszuki- waniu klientów przez drukar- nie i „DOM KSIĄŻKI” musi być.

Księgarnia wprawdzie może przyjąć wybrakowaną książkę i zwrócić pieniądze, ale na co to komu się zda, kiedy braki wy- stępują przede wszystkim w książkach drogiej i poszukiwa- nych, w takich, których już nie można wymienić, bo nakład wyczerpany zostaje w kil- ka dni, jeśli nie w kilka go- dzin. Sam kupiłem kiedyś „OTO MÓJ ŚWIAT” Ericha von Dänikena za 190 złotych z wadliwie wydrukowanymi podpi- sami pod zdjęciami. Dokonałem tego zakupu świadomie, gdyż był to już jedyny egzemplarz tej książki w Łodzi. Nie skarzę się więc, bo byłoby to nieucz- ciwe, ale chęć tym przykładem pokazać, że niektóre wydawni- cwa dają śmiesznie małe na- klady książek poszukiwanych, a nieuzasadnienie wysokie takim, które później leżą latami. Je- śli już jednak prowadzi się ta- ką politykę, trochę na bakier z prawami rynku, to trzeba przy- najmniej dbać o to, aby po- szukiwany towar był dobrej jakości.

MARCIN RODAK

FELIKS RAJCZAK

AFORYZMY

Podgrzewam, że za błagą ukrywa się niewiara.

Jeśli z czegoś można kpić, to to nie jest wartością ostateczną.

Można być sekretarzem i nie pisać wierszy.

Są ideologie, które zniechęcają do pracy.

Mogę ogłosić: jestem szczęśliwy! Wypaliłem w sobie żądę wła- dzy.

Wiele jest spraw do załatwienia w trybie przypuszczającym.

Jej poziom intelektualny jest przerażający, jej głupota imponu- jąca!

Po devaluacji wszelkich wartości nabył przekonania do dumy, iż jest drobnomieszczaninem.

Obsadzono nim etat dyrektora. Co on reprezentuje sobą? Wątek erotyczny.

PRZEDSIĘBIORSTWO EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO



Oddział w Łodzi informuje PT Klientów o wprowadzeniu do sprzedaży atrakcyjnych importowanych ZURNALI

- „VOQUE“
- „ELLE“
- „NEUE MODEN“ (z wkładką polską)
- „BURDA MODEN“ (z wkładką polską)
- „BRIGITTE“
- „ELEGANCE“
- oraz miesięcznik „SPORT AUTO“

Do nabycia za waluty wymienne lub bony towarowe Banku PKO SA

w następujących placówkach w Łodzi

ul. Sienkiewicza 21
ul. Główna 67
ul. Piotrkowska 71
Al. Kościuszki 118